Nr. 14. Lwów, Niedziela dnia 2. Kwietnia 1876 r. **Rok III.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XIII.

Ślepi i Safanduły.

Zdawałoby się, że po tylu klęskach, które od długich wieków padają na nasz naród, powinnibyśmy nareszcie opamiętać się i przejrzeć jasno, jak każdy, dla kogo doświadczenia nie są przypadkiem lecz nauką. Zdawałoby się że raz na zawsze powinnibyśmy wykreślić z naszego słownika ów nieszczęsny frazes „jakoś to będzie“— który robi nas fatalistami gorszymi od muzałmanów. Wyznawcy Proroka wierząc w siłę, która kieruje ich losami wbrew ich woli, stanęli dziś na tym punkcie, że już tylko z założonemi rękami umieją oczekiwać wypadków. Pod względem wiary w taką siłę, my, Galicjanie, podobniśmy do nich jak dwie krople wody, i między Turkami a nami chyba ta zachodzi różnica, że gdy Europie zależy na istnieniu pierwszych, o nas nikt nie myśli. Bądź co bądź myśmy zostawieni sami sobie i jeżeli nie wglądniemy w siebie, aby energicznie wziąć się potem do pracy, zalani powodzią sił zewsząd napierających, zginiemy jak ginie wszystko co bezsilne, a więc dla ludzkości niepotrzebne.

Tylko naród moralnie silny ma prawo żyć— po niedołężnym nawet historja nie zapłacze.

Każdy, kto się bliżej przypatrzy stosunkom w Galicji musi przerazić się widokiem chorób, które toczą nasze społeczeństwo. Począwszy od loterji demoralizującej proletarjat i zasilającej go coraz liczniejszymi członkami, a skończywszy na lichwie, która konsekwentnie dąży do tego, by ziemia z rąk polskich przeszła coprędzej w ręce obcokrajowców, Galicja na zbolałem swojem ciele ma setki wrzodów, z których każdy, w mniejszym lub większym stopniu przyczyni się do zabicia organizmu, jeżeli nie znajdą się lekarze, którzy przyłożą rękę do kuracji radykalnej. W pracy obszerniejszej a przystępnej dla ogółu rozbierzemy wkrótce główne choroby Galicji; dziś tylko naznaczamy, że istnieją, robiąc równocześnie to smutne spostrzeżenie, że społeczeństwo wcale ich nie widzi.

Gdziekolwiek się zwrócicie, kogokolwiek zapytacie, wszędzie usłyszycie jedno słowo: źle, ale nikt wam nie powie w czem zło leży i jakiemi środkami należałoby je usunąć. Każdemu zdaje się, że źle tylko jemu, bo nikt się nad tem nie zastanawia, że wielki zegar, nazywający się narodem, dopiero wtedy dobrze funkcjonuje, gdy w nim wszystkie koła i kółeczka znajdują się w miejscu właściwem a nie są połamane ani pokrzywione. Usuńcie jedno ważne — cały zegar stanie; usuńcie kilka a naprawa dużo czasu zajmie. Tych kółek brakuje nam niestety bez liku — więc cóż dziwnego że kraj nie rozwija się normalnie, że w bardzo wielu kierunkach zamiast bezustannego postępu widzimy zastój uporczywy — że miasto iść ku lepszemu, prawie wstecz się cofamy.

Nie dziwimy się ludziom niewykształconym, że nie widząc naszych chorób nie myślą o środkach zaradczych, bo ci mogą tylko to zobaczyć co im się samo w oczy ciśnie, a myśleć umieją zaledwie o sobie — lecz za złe bierzemy całej inteligencji, że taka bezmyślna, że taka ślepa! Warstwa narodu, w której spoczywają losy tego narodu, założyła ręce apatycznie, i jak wyznawca Proroka powtarza: jakoś to będzie! We wszystkich instytucjach, począwszy od naszego Sejmu, a skończywszy na najmniejszej Radzie miejskiej spotykamy ślepych, którzy nic nie widząc najświęciej są przekonani, że w kraju wszystko tak się dzieje jak się dziać powinno. A tymczasem polityka nasza robi nas celem pośmiewiska, lichwa pod najrozmaitszemi postaciami wciska nam do ręki kij żebraczy, a nauka nasza każe nam szukać ratunku w zupełnem zaparciu się siebie — w spodleniu!

Bądźmy jednak sprawiedliwi. Obok ślepych, w Galicji mamy i takich, którzy zło widzą, którzy od czasu do czasu dotykają się go z bliska, którzy nawet wiedzą, coby uczynić należało aby je usunąć. Ale ci nieliczni, bo w całym kraju jest ich zaledwie kilkudziesięciu, powiedzieli znowu sobie, że muru głową nie przebijesz, że tu nic się nie zrobi. Zasłoniwszy się tym frazesem nic też nie robią, i w skutek swojej bezczynności zostali safandułami.

Chcielibyśmy wiedzieć gdzie i kiedy wielkich rzeczy dokonano w jednej chwili; chcielibyśmy usłyszeć który naród podniósł się z upadku w jednym roku. Jeżeli nie zaczniemy, nigdy nic nie zrobimy — jeżeli zaczniemy dziś, owoce naszej pracy będą widoczne przynajmniej za lat kilkadziesiąt. Patrzmy na Czechów, czego oni nie dokazali w ciągu jednego ćwierć wieku, chociaż ich stosunki, przed r. 1848 były stokroć gorsze niż dziś nasze. I u nich ogół był ślepym— ale za to między wyższą inteligencją nie mieli tylu co my safandułów. Pamiętamy wszyscy opowiastkę o owym starcu nad grobem, który na zapytanie czemu w tak późnym wieku drzewa szczepi, gdy z nich nie będzie jeść owoców — odpowiedział spokojnie, że czyni to dla swoich wnuków, bo tak samo szczepił jego dziad dla niego. Czyż pogrążeni w apatji, nie jesteśmyjuż zdolni wznieść się chociażby do heroizmu tego starca?!

Jeżeli kiedy to dziś położenie jest u nas tego rodzaju, że energiczne a uczciwe wystąpienie kilku ludzi może cały kraj wprowadzić na inne tory. Dyktatury nikt nie daje — ją trzeba umieć wziąć. Niech wystąpią tacy ludzie — a ogół pójdzie za nimi.

Lecz choćbyśmy nawet nie mieli jednostek wybitniejszych, to i w takim jeszcze razie każdej chwili może się rozpocząć praca spokojna a w następstwach nie dająca się nawet obliczyć — byle związało się jedną myślą, jednym celem przynajmniej kilku ludzi rozumnych a dobrej woli. Ci kilku będą może długo niewidzialni, lecz jeżeli pracować nie przestaną, do lat dziesięciu zrobią się z nich tysiące!

Przedewszystkiem ludzie tacy powinni zacząć skromnie, pod jakąkolwiek formą, bez górnolotnych frazesów i programów politycznych; pierwszemi kraj znudził się oddawna, drugie zaraz na wstępie znalazłyby tylu antagonistów, że ci samym krzykiem mogliby chętnych zagłuszyć i zniechęcić.

Do dzieła kto nie zwątpił o kraju i o sobie!

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(Ciąg dalszy).

CZĘŚĆ DRUGA.

Partyzanci.

XIV.

Jaką rolę gra w losach wojny przypadek?

Zapytajmy niebiegłych w teorji, i nie doświadczenia tych, którzy jedną albo drugą kampanję przebyli. Pierwsi odpowiedzieliby nam jakimś aksjomatem przyjętym przez powagi, którym ufają i na których zdaniu polegają zupełnie. Ale aksjomaty takie, zaspakające zrazu, później, po głębszem rozważeniu budzić zawsze muszą wątpliwość. Są inne powagi które im przeczą, a że powagi powagom są równe, więc ostatecznym rezultatem teorji byłaby w tym razie niepewność. Jedni twierdzą tak drudzy inaczej, a jedni i drudzy mają na swoje poparcie historyczne przykłady. Drudzy, to jest ludzie doświadczeni, odpowiedzieliby odpowiednio do doświadczeń jakie przebyli. Z ich odpowiedzi dowiedzielibyśmy się tylko tyle, iż w wojnie danej, dajmy na to tureckiej, pruskiej, francuskiej, albo jakiejbądź innej przypadek grał rolę taką a taką, a w innej inną. Rola jego normalna przecież nie jest bynajmniej taką jaką była w wojnie tej albo owej, ani przeciętną z wszystkich zebranych na polach bitew doświadczeń, zależy ona koniecznie od rodzaju wojny, od sposobu jej prowadzenia.

Zapytajmy się zatem kogo innego, zapytajmy rachunku prawdopodobieństwa, to jest najzdrowszej i jedynie niezbitej filozofji jaką kiedykolwiek dotąd umysł ludzki wymyśleć zdołał.

Rachunek ten nam powie, że przypadek w wojnie może grać rolę wielką lub małą, i że wielkość tej roli zależną jest od warunków, które naprzód się dają przewidzieć i określić.

Jeżeli na czele armji stoją wojskowo ukształceni dowódcy, jeżeli w jej kadrach oficerskich znajdują się prawie wyłącznie ludzie równi im lub niewiele od nich niżsi wykształceniem i uzdolnieniem teoretycznem lub praktycznem, w takim razie może sobie przypadek sprzątać uporczywie jednego dowódcę po drugim, zawsze jest wielkie prawdopodobieństwo, że dalsze prowadzenie oddziału dostanie się w ręce człowieka, który będzie wiedział co począć.

Zupełnie przeciwnie jest tam, gdzie rozumiejący swój zawód dowódcy są wyjątkami. Tam jeśli przypadkowo zginie dowódca, miejsce jego najczęściej obejmuje ktoś taki, dla którego prowadzenie oddziału jest rodzajem algebraicznego zadania i który do rozwiązania tego zdania nie posiada nic więcej prócz odwagi i dobrej woli. Z gry rozumnej i na kombinacjach opartej, wojna zmienia się tutaj w grę hazardowną, i gdy tam od przypadku nie zależało nic prawie, tutaj zależy prawie wszystko.

Z tego wynika, że trzeba było prawie cudu, żeby po przypadkowej ciężkiej ranie Klina, oddział jego mógł się utrzymać i stać się dla powstania tem, czem byłby został niezawodnie, gdyby mógł był i nadal zachować tego samego lub równie zdolnego dowódcę.

Cud ten się nie stał i nie mógł się stać tembardziej, że inne jeszcze nieprzyjazne warunki stały temu na przeszkodzie.

Klin mianował pana Bartłomieja dowódcą aż do chwili, w której będzie on mógł swój oddział oddać pod dowództwo kogoś wprost z ramienia Rządu mianowanego. Była w tem wskazówka dla zaimprowizowanego dowódcy, żeby dążył koniecznie do połączenia się z innym oddziałem i dania przez to oddziałowi swemu innej komendy. Tak też pan Bartłomiej wskazówkę tę rozumiał i najusilniej dążył do tego. Ale byłoby mu łatwo i byłoby możebnem spełnić to zadanie, gdyby najbliższego oddziału szukać nie było trzeba tuż o kilkanaście mil. Umiejętność przerzucenia oddziału tak daleko, przerznięcia się przez siły moskiewskie, których zadaniem było właśnie do takiego połączenia się oddziałów nie dopuścić, leżała po za granicami strategicznej wiedzy dzielnego szaraczka z Zahajpolszczyzny.

A Rząd narodowy w Warszawie i władze narodowe w województwie, chociaż zapewne wiedziały i pamiętały o tej potrzebie gradowieckiego oddziału, nie dopomogły i zapewne nie były w możności dopomódz temu oddziałowi do zaspokojenia tej potrzeby.

Został więc pan Bartłomiej z oddziałem swoim zamknięty w pewnym zakącie kraju odcięty od komunikacji z jego resztą. Z trzech stron otaczały go siły moskiewskie, z czwartej znajdowała się granica, którą przekroczyć zawsze było łatwo, ale której przekroczenie, choćby przypadkowe tylko, równało się złożeniu broni, bo pociągało za sobą — rozbrojenie.

W takiem położeniu wytrwał przez dwa miesiące przeszło, wierny instrukcjom danym mu na łożu boleści przez poprzedniego dowódcę. Pojawił się w jednym punkcie, staczał potyczkę, zadawał lub ponosił klęskę, potem znikał, a w kilka dni znowu pojawiał się gdzieindziej, ażeby znów po doznanej lub zadanej porażce zniknąć i w innem miejscu wypłynąć. Wyrobił się na doskonałego partyzanta, dokazał tego, że przez cały ten czas Moskale nigdy nie wiedzieli, z której strony z nim się spotkają, klęli go najenergiczniejszemi wyrażeniami swego nader obfitego pod tym względem słownika, przysięgali, że gdy go złapią, to na pierwszej gałęzi powieszą, byli nim zmęczeni i przyprowadzeni do pasji, potrzebowali w coraz liczniejsze zaopatrywać się posiłki, — ale ani go złapać, ani przeprzeć przez granicę nie byli w stanie.

Z drugiej strony pan Bartłomiej klął po swojemu i do pasji przychodził, że się wydobyć nie może z zaklętego koła w jakie się dostał. Pod tym względem wszelkie jego usiłowania były daremne. Rozkład sił moskiewskich, które go otaczały był ciągle taki, że o przedarciu się przezeń wstępnym bojem nie można było marzyć, a o przekradzeniu się na pojedynkę, także myśleć nie było można, gdyż byłoby to narażeniem całego oddziału na wyłapanie. Gdzie Moskale byli silni tam zazwyczaj lud z nimi trzymał i gęstym kordonem ziemskich straży kładł tamę ruchom mniejszych powstańczych oddziałów.

Wobec takiego niepowodzenia i takiej niemożebności osiągnięcia zamierzonego celu, pan Bartłomiej byłby ostygł może w zapale i sam straciwszy ducha nie byłby mógł przy sobie utrzymać oddziału, gdyby go nie pokrzepiały dwa względy.

— Czy siak czy tak, panie bratku, — mawiał do swojego *quasi*-sztabu, w którym Stanisław, Franek Haraś, Józef wnuk Mortka i kilku jeszcze inteligentniejszych a odważniejszych głównemi byli osobami, — czy tak czy siak panie bratku, robimy swoje. Gdyby nie my, to cała ta czereda, z którą my mamy do czynienia rzuciłaby się w inne strony, przeciw innym oddziałom. Zadanie nasze spełnione jeżeli osłabiamy wroga, a że go osłabiamy, to pewno, więc trzeba nam być dobrej myśli i robić swoje, póki się da.

Drugi wzgląd był jeszcze ważniejszy bo dawał jakąś nadzieję wyjścia z tego niewygodnego położenia, w jakiem się oddział pana Bartłomieja znajdował.

Pomimo że Moskale pilnie strzegli granicy, komunikacja z nią nie była trudna, tą zatem drogą, przez granicę, przybywali panu Bartłomiejowi niekiedy pojedynczy ochotnicy, a niekiedy wiadomości o oddziałach organizujących się w Galicji, które od Podola właśnie wkraczać miały na pole walki.

Przy każdej takiej wiadomości wymienianem było nazwisko dowódcy, który miał oddział przyprowadzić i dowodzić nim następnie. Dowódcą takim był zawsze jakiś jenerał X. pułkownik Y. w najgorszym razie major Z. którego samo znane nazwisko a jeszcze bardziej tytuł wojskowy, kazały panu Bartłomiejowi wierzyć, że gdy się z nim połączy i podda pod jego rozkazy spełni całkowicie instrukcję Klina i połączonemi siłami wsparty głębszą wojskową wiedzą, zdoła się przedrzeć za ten kordon, którym od pola szerszych działań był odcięty.

Ale oddziały z Galicji wybierały się do powstania jak sojki za morze, a z tych które się wybierały, rzadko który przechodził granicę, największa część nie dochodziła nawet do niej, dając się rozbrajać lub rozpraszać patrolom strzegącym granicy, w imię neutralności patrolom austrjackim. Była w Galicji pewna, niestety dość znaczna liczba jenerałów X. pułkowników Y. i majorów Z. którzy cały czas powstania spędzili na wybieraniu się do powstania, i którzy po kilkakroć wychodzili nawet, ażeby po dniach kilku na dawną kwaterę powrócić i organizować się na nowo.

Pan Bartłomiej czekał zatem daremnie. Jeżeli wkroczył z Galicji jaki oddział w czasie działalności jego na Podolu, to oddział ten najczęściej składał się z drobnej garstki zapaleńców, zostających pod wodzą najzapaleńszego z pomiędzy siebie, który z ochotą niósł życie w ofierze dla ojczyzny, ale umiejętności wojowania przynieść ojczyźnie nie mógł, bo tej nie posiadał zupełnie.

Posiłki takie uzupełniały oddział i wzma-

cniały go po doznanych porażkach, pozwalały panu Bartłomiejowi trzymać się długo, ale nie pozwalały ani zdać dowództwa w kompetentniejsze ręce, ani przedsięwziąć czegoś innego oprócz nieustannego partyzanckiego tańca, w prawo i w lewo, naprzód i w tył, lecz ciągle w jednem zaczarowanem kółku.

Podczas tej kampanji pana Bartłomieja, w niektórych częściach jego operacyjnego terytorjum, w tej mianowicie części, która stanowiła właściwą widownię naszej powieści, Moskale bywali tylko gośćmi zjawiającymi się od czasu do czasu, ale na krótko. Zabierali żywność, ściągali kontrybucje, sypali nahajki, czasem dom jaki zrównali z ziemią, czasem kogoś rozstrzelali lub powiesili, ale robili wszystko z gorączkowym jakimś pospiechem i gdziebądź się ukazali już ich tam nazajutrz albo na trzeci dzień nie było. Takie wizyty odbierały Gradowce, Łaszczyńce, Zaskale i inne miejsca i mimo grozy jaką podobne odwidziny sprowadzały zawsze ze sobą, stan taki był przecież dla nich stanem jakiejś względnej swobody. Ranni doleczali się spokojnie po domach, dworach, chatach i zaściankach, a gdy oddział rozpuszczony w jednem miejscu miał się zgromadzić w drugiem, partyzanci w przekradaniu się do wyznaczonego punktu zbornego nie napotykali wielkich przeszkód.

W takich przerwach akcji partyzanckiej Stanisław kilka razy odwidził dom i żonę. Kilka razy w ciągu dwóch miesięcy odbywało się powitanie męża wracającego na chwilę z wojny i pożegnanie z mężem udającym się na wojnę. A że wyprawy takie nie były żartem świadczyli ranni towarzysze, których Stanisław za każdym razem przywoził z sobą i w Gradowcach pod opieką żony zostawiał.

Konstancja zatem w ciągu tych dwóch miesięcy przebyła kilka takich przejść, do których przebycia raz w lat wiele potrzeba dzielnej duszy i silnego charakteru. Przebyła je z męstwem i ufnością. Wstąpiła w nią jakaś wiara niezłomna, że on, jej wybraniec i skarb jedyny wyjdzie cało z tych przejść i niebezpieczeństw. Tak była tego pewną tak mocno o tem przekonaną, że gdyby kiedy przypadkowo doszła do niej wiadomość, że ją ta wiara zawiodła, niepodobna było nawet przewidzieć skutków piorunowego wrażenia, jakieby ta wiadomość wywrzeć na niej musiała.

Tysiące kobiet naszych w owych czasach było w takiem położeniu, a nawet w gorszem, bo mniej szczęśliwe od naszej bohaterki, wieści nawet od swych ukochanych nie miały, i świadkowie chwil owych dziwić się tylko mogli tym niewyczerpanym zasobom rezygnacji, stałości, zdania się na wolę nieba i gorącej miłości Ojczyzny, jakie podówczas okazywały polskie niewiasty.

Zdarzało się podówczas nieraz, że Konstancja sama czynną być musiała w sprawie ogólnej. Nie mówiąc już o pielęgnowaniu chorych, wypadło jej parę razy z narażeniem się na osobiste niebezpieczeństwo przejechać po za ten kordon, przez który oddział pana Bartłomieja napróżno przebić się usiłował. Potrzeba było utrzymywać komunikację pomiędzy oddziałem w którym walczył jej mąż, a najbliższemi oddziałami powstańczej ruchawki. Tej czynności podjęła się Konstancja i wypełniała ją z całem poświęceniem.

Z sum przez rotmistrza u ojców Kapucynów złożonych znaczna część przez jej ręce przeszła do kas obozowych tych nielicznych oddziałów, które podówczas organizowały się i działały w województwach ruskich, po za obrębem kongresówki.

Być może, że ten czynny udział w sprawach powstania był dla wnuczki rotmistrza niejaką ulgą w jej położeniu. Mając do spełnienia na jej własną odpowiedzialność włożone zadania, Konstancja musiała myśleć o nich, a tem samem chwilowo przynajmniej wolną była od ciągłych obaw i trosk o los ukochanego. Narażając się na niebezpieczeństwa osobiście mogła mniemać, wmawiać w siebie, że je przynajmniej w części podziela z tym, przy którego boku pragnęłaby być ciągle, aby z nim razem narażać się na wszystko i razem jeśli trzeba — umierać. Ulgi tej, względnej osłody swego losu szukały wówczas polskie patrjotki, i tem głównie podobno tłumaczyć należy ów czynny, gorący i bardzo rozległy udział, który matki i siostry nasze wzięły w sprawach ostatniego powstania.

Zbliżała się chwila nieuniknionej katastrofy.

Powoli ale ciągle zwężał się i ciaśniejszem otaczał pana Bartłomieja kołem ten żywy mur, przez który, jak z zaklętej matni przedrzeć mu się na zewnątrz nie było podobna. Ruchy oddziału stawały się coraz mniej swobodnemi, regularna armja powoli zyskiwała terytorjum, ale je zyskiwała stale dzień za dniem. Przerzucania oddziału w tę lub ową stronę nie można już było przedsiębrać z tą dowolnością jak w początkach po gradowieckiej porażce. Jeden z większych lasów okolicznych, leżący o parę mil od Gradowiec stał się punktem jedynym prawie do którego z konieczności po każdem starciu kryć się musieli coraz żywiej nacierani partyzanci. Z tego lasu robili potem wycieczki na wschód lub zachód, południe lub północ, tyle jeszcze im pozostawało swobody ruchów, ale punktem odwrotu koniecznego po każdem starciu stał się ten tylko las, stał się on więc ogniskiem, którego zawładnięcie przez nieprzyjaciela równałoby się zagładzie oddziału.

Póki oddział nie miał takiego centralnego stałego punktu, był bezpieczniejszy, lecz gdy został do niego niejako przykutym, był już zgubiony.

Można jednak było jeszcze drogo sprzedawać każdą kroplę krwi. Las był naturalną warownią. Póki partyzanci w nim byli, tylko bardzo przeważne i ryzykujące się na wszystko siły moskiewskie mogły się pokusić o ich zaczepienie.

Bliskość granicy austrjackiej czyniła przytem łatwiejszem utrzymywanie się oddziału, gdyż mu udogadniała prowjantowanie się. Oddział pana Bartłomieja doznał wszelkich połączonych z wojną partyzancką niebezpieczeństw, niewygód, trudów i przykrości, głodu tylko prawie nie znał.

Z drugiej strony jednakże tą bliskość granicy, napozór tak dla oddziału zbawienna miała sie stać zgubną dla niego.

W lesie bez końca siedzieć nie było podobna. Racją bytu oddziału były ciągłe wycieczki, niepokojenie nieprzyjaciela, gdzie tylko udać się to mogło.

Otóż pod koniec maja pan Bartłomiej zrobił jedną z takich wycieczek i stoczył dosyć krwawą potyczkę od wschodniej strony lasu z bardzo przeważnym moskiewskim oddziałem. Nie było to zwycięstwo ani porażka jednej lub drugiej strony, była tylko dywersja, po której wierny partyzanckiej taktyce szaraczkowy dowódca cofnął się jak zwykle do lasu.

Cofnął się, lecz nie po to ażeby spocząć. Owszem zaniepokoiwszy nieprzyjaciela z jednej strony, pragnął zadać mu klęskę z drugiej. Dowiedział się, że po stronie zachodniej głównej jego partyzanckiej kryjówki, nieopodal granicy znajduje się drugi oddział moskiewski, mniej liczny, który przy niespodziewanym napadzie można było rozbić zupełnie. Postanowił więc przebyć jak najspieszniej las, którego wszystkie przejścia były już doskonale partyzantom znajome i szybkim atakiem od drugiej strony zadać bolesny cios nieprzyjacielowi.

Dowódca jednak moskiewskiego oddziału, z którym oddział pana Bartłomieja stoczył tylko co potyczkę, snać przewidział ten plan lub powziął o nim wiadomość od jakiegoś wziętego do niewoli a słabszego duchem partyzanta, bo niewiele się wahając zdobył się na krok, o którym panu Bartłomiejowi nawet myśl przez głowę nie przeszła.

Całą swoją siłą, w pełnym rynsztunku bojowym przeszedł granicę austrjacką i po spiesznym marszem torował sobie drogę naprzód przez terytorjum obcego państwa, nie biorącego udziału w wojnie.

Był to krok przeciwny prawu narodów, ale któż o prawo narodów w wojnie z miateżnikami pyta!...

Krok taki powinien był pociągnąć za sobą rozbrojenie zuchwałych naruszycieli granic, ale któż był na tyle śmiałym, ażeby mógł myśleć w tym razie na serjo o wykonaniu tego obowiązku.

Zastąpił wprawdzie drogę Moskalom jakiś posterunek austrjacki, wcale nieimponujący liczebnie i nie mogący nakazać posłuszeństwa dla siebie przewagą siły. Dowódca tego posterunku wezwał dowódcę moskiewskiego przemową w języku niemieckim, najeżoną paragrafami wojennego kodeksu, ażeby złożył broń, ale dowódca moskiewski niewiele na to uważał. Odpowiedział w swoim znowu urzędowym języku, że bardzo mu przykro iż zupełnie nie mówi po niemiecku, i że zbyt jest zajęty, zbyt się spieszy, ażeby miał czas tracić na szukanie tłumacza.

Tego znowu nie rozumiał dowódca, którego językiem był niemiecki, i byłoby tego nieporozumieuia bez końca, gdyby był Moskal gordyjskiego węzła w sposób aleksandrowski nie przeciął.

— *Napierod!* — zakomenderował do swoich.

A potem zwracając się do porucznika dragonów, który na czele pięćdziesięciu lu-

dzi *pro forma* zastępował mu drogę, krzyknął:

— *Hinweg!*

Ten jeden wyraz niemiecki do zrozumienia się wzajemnego wystarczył — Moskale pomaszerowali dalej.

Pomaszerowali, przeszli mil parę, i napowrót wkroczyli na swoje terytorjum, naprawiając tym sposobem w swojem rozumieniu krzywdę jaką wyrządzili prawu narodów. Tak przynajmniej tłumaczył to gabinet petersburski gabinetowi wiedeńskiemu, gdy ten ostatni w parę miesięcy później upominał się drogą dyplomatyczną o to naruszenie terytorjum.

I tłumaczenie to wystarczyło. Sprawa ta nie stała się bynajmniej powodem oziębienia stosunków.

Tymczasem ten wypadek zdecydował o losie oddziału pana Bartłomieja.

Sądził że zada klęskę, został sam zaatakowany z tyłu i pomimo rozpaczliwej obrony zahartowanego w dwumiesięcznych zapasach oddziału, wparty przemocą za granicę.

Moskale tym razem szanowali prawo narodów i zatrzymali się nad kordonem granicznym.

Powstańcy sądzili z początku, że się przemkną niepostrzeżeni. Pan Bartłomiej w tym celu postanowił ich rozdzielić na dwójki lub trójki, polecając każdej oddzielnie dostanie się do zbornego punktu wyznaczonego w owym lesie. Nim jednak rozdział przyszedł do skutku, ukazały się siły austrjackie, tym razem, przypadkowo zapewne, wcale imponujące, otoczyły partyzantów i oznajmiły im kategorycznie, że jeśli dobrowolnie nie złożą broni, to będą rozbrojeni przemocą.

Płakał poczciwy pan Bartłomiej, oddając swoją karabelę, tyle razy w krwi moskiewskiej zbroczoną, ale ją oddał, bo dowódcy partyzanccy mieli w instrukcjach szanowanie terytorjum austrjackiego i rozumienie po niemiecku gdyby tego była potrzeba.

W potyczce, która przejście granicy poprzedziła zaszło wiele krwawych epizodów, nienależących do naszej powieści, ale zaszedł i jeden, który do niej bezwarunkowo należy.

Stanisławowi, tak jak wszystkim, którzy w tej bitwie udział brali wiele razy groziła śmierć. Był jednak ktoś, który jak się zdawało po to tylko tam poszedł, aby nad jego życiem czuwać.

Był nim, jak się łatwo domyśleć, Józef wnuk Mortka.

Kilka razy ocalił on życie mężowi Konstancji zasłaniając go sobą i kilka razy powiodło mu się szczęśliwie.

Był tylko lekko ranny w lewą rękę, ale to mu nie przeszkadzało walczyć.

W ostatnich już chwilach potyczki jakiś moskiewski kawalerzysta żywiej natarł na Stanisława. Spostrzegł to Józef i rzucił się pomiędzy nich, nie mogąc się dobrze zasłonić ręką od rany osłabioną.

Cios wymierzony na męża Konstancji padł na jego głowę, i ześliznął się po niej, raniąc go ciężko ale nie śmiertelnie.

Józef spadł z konia.

Nadbiegli inni towarzysze broni i ocalili Stanisława, który następnie postanowił odpłacić się swemu zbawcy, i wraz z drugimi z największem narażeniem się przeniósł rannego za granicę przyczem sam został dosyć ciężko raniony.

Po rozbrojeniu oddziału dano pomoc rannym, a następnie oddział odkonwojowano do najbliższego miasteczka.

Było już szaro kiedy się odbywał ten pochód. Rannych wieziono na wozach i mniej na nich dawano baczenia.

Gdy odstawiono rozbrojonych partyzantów i gdy ich policzyły, władze austrjackie okazało się, że jeden z rannych korzystając z ciemności wieczornej i niedość ścisłego dozoru, zbiegł w drodze.

Zbiegiem tym był Józef, wnuk Mortka.

Koniec części drugiej.

(C. d. n.)

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Zostawiliśmy Basię z Oskarem przy studni. Gdy powróciła, zastała już dziadków śpiących w komorze. Ale na kominku żarzył się jeszcze ogień, a przed obrazem Najświętszej Panny stał klęcznik, przy którym staruszkowie się modlili, i była na nim jeszcze lampa płonąca i koroneczka widocznie dla niej tu zostawiona. Basia chciała się pomodlić — lecz żadną miarą nie mogła; oderbane świeżo wrażenia nie pozwalały myślom skupić się i uspokoić. Roztargniona poszła do okna i zwróciła oczy na czyste niebiosa, szukając tam gwiazdki swojej doli.... Marzyła cudnie przez chwilę. Potem kiedy po izbie spojrzała, zdało jej się, że wszędzie widzi jakąś odmianę, a każdy przedmiot w jej oczach dziwnie jakoś wypiękniał. Były zatem

I rzeźby gładsze, i powały bielsze,
I twarze świętych w obrazach weselsze;
I nawet Chrystus klęczący w ogrojcu
Mniej się na kielich skarży Bogu Ojcu,
I święta Panna uśmiecha się do niej,
I Kindze nie strach, choć ją Tatar goni...

Zrozumiał to dobrze poeta, że światło szczęścia stroi wszystko w urocze kolory; więc też i bohatyrce jego wydało się wszystko tak powabnem, nawet dobrze znane i tyle razy widziane przedmioty. Ale myśli dziewicy niecierpliwe biegły w dal, w rojoną świetnie przyszłość. I ujrzała się narzeczoną miłego, w białej ślubnej sukience i w zielonym wianku na głowie; a muzyka przygrywała tak ładnie, a w dali gdzieś tak uroczyście odzywały się dzwony kościelne.... Lecz oto w tej chwili duszyczka jej pobiegła kędyś indziej, tam gdzie stał domek Oskara, do ziemi nieznanej sobie,

Kędy dzień chmurny, w noc księżyc nad skały
Wschodzi, jak lampa z alabastru biały,
A nad borami gęsta wisi para....

Tak malował jej Oskar swe rodzinne strony. — W tym momencie wspomniała sobie na ukochanych dziadków, i żal jakiś mimowoli ścisnął jej serce dziewicze. Któż biednym pomoże w starości? kto im posłuży? kto ich rozweseli?... A krewni? a znajomi i rówieśnice?... A te ołtarze, kędy czystą myślą ulatywała ku niebu, i to miasteczko tak lube, i te pola urocze, co je otaczają dokoła, i ten szumiący Dunajec, i owe góry w dali błękitniejące — ach! wszystko, to wszystko porzucić będzie musiała!... Więc smutno się zrobiło w duszy dziewczęcia i łzy spłynęły po jej licu. Ale miłość zajrzała znowu jaśniejszym promieniem w te posępne dumania.

Może mnie kiedyś Bóg w jaskółkę zmieni....
Nieraz mi stara cyganka mówiła,
Że się ptaszyną dusza urodziła,
I gdy zatęskni, skrzydełek dostaje,
I może lecieć, w jakie zechce kraje,
I nie ma dla niej ni gór, ani morza,
Jeno niebiosa!...

O! gdyby też Basia zostać mogła jaskółką... choć na chwilę..... na chwil kilka!... Wówczas jakżeby latała do staruszków....

......O! ja ptaszka boża!
Rzucę go.... siędę sobie w ogródeczku,
Zaśpiewam dziadkom, gdy będą w ganeczku,
I wszystkim naszym od serca zanucę
Ptaszyna! — i znów do Oskara wrócę....

Znużona usiadła przy stole, pochyliła główkę i usnęła. Jakże ciężko oddycha!... Jakieś straszne widziadła, jak zmory, trapić poczęły uspioną. Przez rozchylone usta wypadły wyrazy: „rzną!... Oskar!“ Ocknęła się — i prawie wpół przytomna przypomina rozmowę z lubym u studni. Ale złowrogie widziadło już nie we śnie, lecz na jawie ją ściga! Wszystko, zda się, widzi tak dobrze, tak wyraźnie....

..............Ulica czerwona...
Krew.... uciekają ludzie.... w dzwony walą....

Chciała wstać, wznieść ręce do Matki Boskiej w obrazku i westchnąć — ale ręce opadły bezwładnie, a z piersi mdlejącej wydobyty rozległ się okropny krzyk:

....O! o! Marja mię przeklina!
........Mord! — rzeź w mieście!...

Porwali się ze snu dziadkowie, biegną przerażeni i tulą do piersi ukochane dziecię; lecz Basia nie daje się ukoić i jakby w obłąkaniu, z rozdzierającym jękiem woła ciągle: „Mord! — rzeź!“ — i trwożny wzrok obraca ku Najświętszej Pannie, i płacze. Stary Janusz zdejmuje strzelbę ze ściany, porucza małżonce opiekę nad nieszczęśliwą, a sam wybiega na miasto. Głucha cisza nocy zaległa nad grodem; wszystko spało. Toż wróciwszy niebawem, przekonany był, że te straszydła to jeno senne przywidzenia dziewczęcia, obrazy rozigranej wyobraźni, na których odegnanie najlepszym środkiem krzyż Pański i woda święcona. Przestrach Basi nie był jednak skutkiem chwilowego tylko złudzenia snu. Jak gdyby wzrokiem duszy wyraźnie patrzała na okropną jakąś scenę, mówiła drżąca:

.....Dziadku! wam krew szyję broczy...
Wy trup!... Mnie Matka Boża duszę wzięła
Z piersi; tę moję duszyczkę przeklęła;
Lampą mi ogień zapaliła w głowie
Na rzeź....

A jakby pragnąc tym zwierzeniom swoim użyczyć mocy, przydała:

.....Idźcie wy, to wam Oskar powie
Jak mnie! —

Biednej zdało się, że luby ciągle jeszcze czeka na nią przy studni... Widząc zaś staruszków osłupiałych z przerażenia, rzekła:

......No chodźmyż — ach, jacy wy trudni!
Chodźmy, on na nas czeka tam przy studni...

Wstała z miejsca i chciała iść. Gwałtowne wzburzenie wprawiło Basię w stan niezwykły, gorączkowy. Podobną była prawie obłąkanej. Zrozumiał Janusz, co się święci. Z wielkiego bolu załamał dłonie, łzy gorzkie potoczyły się po jego zoranem licu, a z piersi wypłynęła głucha skarga:

Tyle mojego było na tym świecie!
Strasznoś mi, Panie, dotknął głowę starą!

Lecz w tej chwili stłumił i zdusił w sobie ciężki żal, podniósł się z mocnem postanowieniem, ujął silnie rękę Basi, i ciągnąc ją za sobą do izby gospodnej, mówił do broniącej się i wydzierającej:

..........Chodź, ofiaro!
Chodź nawiedzona czartem....
Chodź, ludziom w karczmie krzycz: Ogień nad [głową!

Mieszczanie byli jeszcze zgromadzeni w gościnnej izbie, rozprawiając i spierając się. Gdy Janusz krótko opowiedział, co zaszło, przystąpił Jacek do klęczącej Basi, zdjął z piersi swej szkaplerz poświęcony, który miał z Częstochowy, a położywszy go na czole dziewczęcia, począł w głos odmawiać *Ave Maria*. W rychle ocknęła się Basia z gorączkowego stanu i oprzytomniała. Przemówiła nawet,

......lecz tak sucho, zgroźno,
Że się mieszczanom w duszy stało mroźno.

Wspomniała o gorącym afekcie Oskara i o „dziwnie słodkiej jego mowie,“ i o tem, jak mu kazała, ażeby dziadków prosił o jej rękę; w końcu zaś, przypominając straszną tajemnicę, rzekła:

.....Pojutrze, z pierwszym zorzy brzaskiem,
Mówił, że trąbka na zamku uderzy,
Podpalą miasto — i każdy z żołnierzy
Ma was rznąć! —

O siebie wszelako i o staruszków była zupełnie spokojną;

........ja się nic nie boję,
Bo on ocali mię i dziadków dwoje.

Lecz uczucie miłości, które żywiła w swej piersi, wydało się jej teraz znowu wielce grzesznem, zgubnem nawet, bo jękła z boleścią:

.....Mnie Matka Boża duszę wzięła
Z piersi, i moję duszyczkę przeklęła!!...

To powiedziawszy, zbladła i zemdlała. Słowa Basi uczyniły na wszystkich obecnych głębokie wrażenie. Każdy pojął, że należało nareszcie pomyśleć o własnym ratunku. Uprzedzić Szweda w jego zdradzieckim zamiarze stało się w tej chwili rzeczą konieczną, nieodzowną — i nikt się już nie wahał.

W dalszym ustępie swego opowiadania kreśli poeta obraz walki, jaką wszczęli mieszkańcy podkarpackiego grodu z najezdnikiem. Epizod ten przypomina znowu mimo woli żywo owę sławną *Bitwę* w *Panu Tadeuszu*, którą szlachta Dobrzyńskiego zaścianka wraz z domownikami Pana Sędziego stoczyła zwycięsko z bataljonem Moskali. Charakter obrazka różny wszelako pod niejednym względem w obu poematach. W epopei Mickiewicza bitwa naszych z oddziałem rossyjskiego wojska okazuje się poniekąd jako konieczne następstwo dokonanego na dwór Soplicowski zajazdu; a co większa, choć w rezultacie swoim pomyślna, nosi przecież tylko cechę czysto lokalnego wypadku, który w skutku swoim najczynniej wmięszanych, a zatem w obec panującego porządku rzeczy najbardziej winnych, wyganiał z ojczyzny. Walka mieszczan Sądeckich ze szwedzką załogą miała zadanie zupełnie inne: pozbycie się wroga z miasta, a w dalszym planie i z kraju; wiedziano bowiem w Sączu dobrze i o wypadkach pod Częstochową, i o ruchach Czarnieckiego, a zresztą także o zbrojeniu się górali pod wodzą Wąsowicza, z którymi młodsze mieszczaństwo Sądeckie nawet się znosiło.

Romanowski w epizodzie, o którym mówimy, kreśli tylko kilka scen tego boju, toczonego z nieprzyjacielem na ulicach Sącza, a przedewszystkiem te zdarzenia, wśród których występują jego bohatyrowie. Ograniczenie takie znajduje swe zupełne usprawiedliwienie w architektonice utworu.

Po wypakach, stanowiących przedmiot dotychczasowych pieśni *Dziewczęcia z Sącza*, było to następującego zaraz wieczora.

.......Niebo jasne, czyste;
Na Tatrach słońce stanęło ogniste,
I ogniem spłonął Tatrów łańcuch biały.
W ogniu Dunajca ścięte w lód kryształy,
Baszty, i wieże, i obronne mury
Świeciły blaskiem wieczornej purpury.
W borach mrok siadał.... Tak się z dniem żegnało
Słońce, malując okolicę całą —
I zaszło. Tatrów królewna, Łomnica,
Sama słoneczne zachowała lica,
Ale wnet senna zsiniała i zbladła —
I noc na miasto i na góry padła...

Z kolegiackiej fary ozwał się właśnie dzwon na Anioł Pański, a za nim uroczystą melodją zagrały wszystkie inne dzwony kościołów. Przy tak zwanym Węgierskim murze, gdzie brama miejska, stała straż szwedzka, i stroiła figle z dziewczętami, co szły tędy po siano, złożone w stodołach za miastem. W tem na Morgani błysnął płomień, od którego cała okolica do razu jasnym blaskiem się oblała. Był to dla mieszczan tajemny znak rozpoczęcia akcji. Jakoż zaraz i strzały dały się słyszeć z oddali. Niebawem uderzył ponuro wielki dzwon kolegiaty — hasło do boju. Przygotowaniem kierowali Janusz i Jacek; wszystko przezornie umówiono.

(C. d. n.)

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

(Ciąg dalszy.)

Przepisy budaizmu mają szczególnie na względzie ułatwienie przystępu do życia klasztornego, dozwalając z równą łatwością opuszczenie zakonu tym, którzy wytrwać nie mogą w obranym zawodzie. Osoby opłakujące bolesną stratę, zawiedzione w swych nadziejach, lub dotknięte majątkowem niepowodzeniem, często szukają pociechy w oderwaniu się od świata; niech tylko udadzą się do klasztoru, a natychmiast zostaną przyjęte. Po przetrwaniu czasu próby dostępują tytułów i godności duchownych, ale zawsze pozostaje im możność złożenia zakonnego stroju i powrócenia do świata. Wspomnienie ulgi jakiej doznały w cierpieniu, i słów pociechy któremi zostały powitane u progu spokojnego schronienia w chwili rozpaczy, nie wyjdzie nigdy z ich pamięci. Iluż to ludzi zagoiło rany swego serca, iluż jeszcze przyjdzie szukać zapomnienia cierpień w cichych ustroniach klasztornych! Z tąd łatwo sobie wytłumaczyć cześć jaką wzbudzają księża, i wpływ moralny zakonu, którego członkowie zasługują na poszanowanie nieskazitelnemi obyczajami i zaparciem się siebie. Przykład jednak miłości, jaką w swojem opowiadaniu przedstawił mój towarzysz, rzadko się zdarzać może w krajach, gdzie wielożeństwo, mimo niejakich obostrzeń wchodzi w obyczaj klasy bogatej, jest skrycie tolerowane u niższych, i gdzie małżeństwa zawierają się najczęściej w wieku bardzo młodym. W takich warunkach zmysły częściej obudzają się niż serce, i szlachetne uczucie mało kiedy objawia się w młodych ludziach z taką siłą i energją.

Przechadzka zmęczyła mnie trochę; z powrotem do kyoungu udałem się na spoczynek. Nie mogłem przecież zasnąć: obrazy złoconych pagod, wspaniałych klasztorów, tajemniczych lasów, i to czarowne ustronie, gdzie więdnieje piękność i dogorywa złamana miłość, tłoczyły się jedne za drugiemi odganiając sen od powiek. Spoczywałem z otwartemi oczyma, jakby w stanie hallucynacji, niezważając zupełnie na zbliżający się wieczór. Szczęściem Józef wyrwał mię z tego półsnu oznajmiając, iż Tsaya-dauh przechadza się z księżmi po galerji swego pałacu, czekając na wieczerzę. Wstałem co prędzej i po krótkiej toalecie udałem się do nich. Rzeczywiście chodzili poważnie robiąc swoje sto kroków i przesuwali w palcach różańce jak nasi zakonnicy, szepcąc pacierze, rodzaj brewiarza.

Po pierwszych ukłonach prowincjał rzekł przedstawiając mi swoich asystentów.

— Oto moi wikarjusze i zastępcy. Kiedy pan pozostaje z nami czas jakiś, pozwól niech was wzajemnie zaznajomię.

Podaliśmy sobie dłonie, zamienili kilka słów grzeczności i znajomość była zrobiona.

Najstarszy z wikarjuszów, miał blisko lat pięćdziesiąt; twarz jego wyrażała słodycz, uprzejmość i spokój ducha; oczy w których skupiało się całe życie, rzucały bystre spojrzenia w harmonji z ruchliwością fizjonomji, świadcząc o czynnem usposobieniu ducha. Sprawował on urząd pierwszego sekretarza.

Drugi tłusty, z kwitnącemi policzkami, miał ruchy poważne i mierzone, jak człowiek przywykły myśleć i liczyć. Był to kasjer.

Trzeci wyłącznie przydzielony prowincjałowi do spraw duchownych, mówił kazania, tłumaczył pisma święte; zarządzał szkołami i klasztorem, i utrzymywał porządek dyscyplinarny w całym okręgu należącym do djecezji. Tytułowano go Camboua-Tsaya, czyli uczący i objaśniający przykazania budaizmu. Postać pełna rezygnacji, otwarte czoło, i przyćmiony wzrok, który chwilami jeszcze strzelał łyskawicą z ciemnej źrenicy, dały mi poznać bohatera powieści, ofiarę kaprysu monarchy. Myśl i walka wyryły swoje ślady na tej twarzy bladej i pooranej przedwczesnemi zmarszczkami. Czy wskutek tłumionej namiętności, i wewnętrznej burzy, czy gorączkowe poszukiwania wiedzy lub wybujały mistycyzm pofałdowały

myślące czoło i zaciśnięte usta — trudno było odgadnąć. Może jedno i drugie wypisało ślad na tych zniszczonych rysach.

Gdy mi rękę podawał, uścisnąłem ją ruchem tak szczerym i sympatycznym, że zdziwiony podniósł na mnie swe oczy. Dłoń jego odwzajemniała uścisk, ale wzrok mignąwszy ogniem, zagasł natychmiast. Może nie chciał mię zrozumieć.

Słońce zaszło; w podwórzu ukazała się służba niosąca duże półmiski z drzewa werniksowanego, na których w tym kraju podają potrawy. Udaliśmy się do jadalnej sali. Prowincjał wskazując miejsca rzekł uprzejmie:

— Z twojem przyzwoleniem Booghuy, zasiądziemy do stołu. Moi towarzysze suszyli dziś cały dzień i jutro suszyć będą, wiek i choroba nieprzeszkodziły im w dopełnieniu obowiązków, kiedy ja — niech mi przebaczy Gautama — dwa razy piłem z napoju poleconego mi przez pana i czuję już zbawienne jego skutki. Ale, cóżem to miał na myśli... otóż — chciałem powiedzieć, żem upoważnił moich asystentów do odłożenia na wieczór dziennego posiłku, by powiększyli nasze grono. Nie jest żem ja egoistą? Sam korzystam z udzielonej dyspensy.

— Za pozwoleniem, nie sam bo i ja także— wtrąciłem.

Księża skłonili się w milczeniu.

Sala jadalna imponowała rozmiarem, natomiast gołe ściany przyozdobione rzadkiemi rzeźbami i pusta przestrzeń sprawiały wrażenie klasztornego refektarza; w środku ładny żyrandol niezapalony, z powodu może że dawno nie był używany, przerywał monotonność, a mnóstwo świec w dużych złoconych lichtarzach z drzewa oświetlały stół bogato zastawiony.

Najgłębsza cisza była zachowana przez służbę która rzadko tylko, i to półgłosem zamieniała słowa między sobą, stojąc nieruchomie oparta o ściany, lub w przyzwoitej odległości siadając na ziemi. Kasjer i sekretarz sami wydawali rozkazy; prowincjał i jego asystent nie zdawali się zwracać uwagi na poszczególne dania.

— Gdy jesteśmy sami — rzekł Tsaya-dauh — jadamy po birmańsku siedząc na ziemi w około niskiego stoliczka. Jak widzisz dla ciebie Booghuy, kazałem nakryć po europejsku, żeby w twoich oczach nie uchodzić za barbarzyńców.

Podziękowałem grzecznie za taką uprzejmość, tymczasem podali pierwsze danie z pasztecików i pączków. Przypomniawszy prowincjałowi, że mi udzielił pozwolenia czuwania nad jego zdrowiem prosiłem go, by się wstrzymał od jedzenia rzeczy ciężkich a niepożywnych.

— Pamiętaj pan — rzekł z uśmiechem — że cię robię odpowiedzialnym za mój głód, napój z chininy obudził we mnie apetyt.

W tej chwili wszedł z wielką powagą Józef w stroju zastosowanym do okoliczności, w bieli z czerwonym turbanem i przepasany niebieską szarfą. Pomimo swego roztrzepania i lekkomyślności, posuwał on do wysokiego stopnia gorliwość w służbie, pysząc się urzędami jakie sprawiał przy mnie, to jest marszałka dworu, krajczego kamerdynera i kuchmistrza. Za nim szedł Longlé, niosąc buljon sporządzony z wieprzowiny i bruściku z kozy; baraniny nie było w okolicy a mięso wołowe jest księżom wzbronione. Podnosząc pokrywę z wazy Józef spojrzał trwożliwie do koła; nie długo rozpłomieniła mu się twarz na widok wrażenia jakie sprawiał na powonieniu zgromadzonych zapach rosołu umiejętnie przyprawionego korzeniami.

— Jakże znajdujesz przyjacielu buljon z ryżem? zapytał prowincjał zwracając się do najmłodszego z wikarjuszów—ty coś miał sposobność w Rangun kosztować kuchni angielskiej?

— Nigdy nie jadłem tak dobrego consommé — odparł.

— Ten ryż w samą miarę ugotowany, jest przewyborny — wtrącił kasjer. Sekretarz nie przerywając sobie przytakiwał tylko głową.

—Co do mnie—mówił dalej Tsaya-dauh — znajduję że buljon i ryż są zarówno dobre i chętnie chciałbym je mieć co dzień.

— Nic łatwiejszego — rzekłem — przez czas naszego pobytu. kucharz mój może udzielić tutejszemu niektórych sekretów kulinarnych.

— Wyborna myśl! — zawołał uradowany prowincjał.

Józef od tych pochwał rósł jak na drożdżach; przy ostatnich słowach zaczerwienił się z radości.

Do kompletu naszego objadu brakowało tylko wina Bordeaux, ale zato miałem kilka flaszek Xeresu; kazawszy odkorkować jedną butelkę rozlałem moim współbiesiadnikom. Księża nie chcieli z początku tknąć wina, dopiero po mojem uroczystem zapewnieniu, że nie zawiera alkoholu — czego co prawda nie byłem sam bardzo pewny — zdecydowali się skosztować parę kropel i na tem poprzestali przekładając swoją limoniadę, doprawioną kwaskowatym sokiem owocu, rozpuszczonym w słodzonej wodzie; jest to napój dość smaczny i ochładzający, ale przy stole nie zastąpi wina.

Gorąca szynka z jarzynami duszonemi w maśle, nie została pogardzoną, potem przyszły kozie nóżki w potrawce z ostrym sosem zbierając przynależne pochwały. W Birmanji nie umieją zgotować znośnego rosołu ani przyrządzić pieczeni, to też za wniesieniem pawia faszerowanego małemi ptaszkami, okładanemi słoniną, kolor złotawy i chrupiąca skórka wzbudziły ogólny podziw, a crescendo nastąpiło za podaniem majonesu z ryb i tortu hiszpańskiego z bitą śmietaną, garnirowanego cytrynami smażonemi w cukrze.

— Hamoueh! na toś mnie pan wykurował, by mi kazać umrzeć z niestrawności? — zawołał prowincjał wprawiony w dobry humor.

— Nie obawiaj się Phra, mam antydotum— odparłem tonem żartobliwym.

Wniesiono owoce, poczem służba klasztorna gotowała się podać herbatę — dobry napój ale nie po objedzie — zaproponowałem więc mój wyciąg z kawy, w który zaopatrzyłem się w Mandelay. Przyjęto go jednogłośnie i nad nim jednym nie wszczęła się żadna kwestja sporna.

(C. d. n.)

Filozofowie — Niewolnicy.

Wł. Okońskiego.

(Dokończenie).

Nauka więc zbawiała niewolników socjalnie przenosząc ich na stanowiska, które im otwierały wyjście w świat swobody, ale także pomagała znosić niewolę zmniejszając jej brzemię. Wspomniałem, że w ujarzmione klasy starożytności wsiąkały krople głębszej wiedzy. Rzecz naturalna że zbierały się w nich przedewszystkiem te jej składniki, które posiadały największą siłę powinowactwa z uczuciami, zrodzonemi w umysłach uciśnionych. Niewolnik zbyt ułamkowo zbierał swą wiedzę i zbyt odciągała go od innych zagadek własna niedola, ażeby mógł jej nie poświęcić całej swojej uwagi. I dlatego o ile rzadkie i powierzchowne były poglądy filozofów niewolników w sferze zagadnień teoretycznych, o tyle często i umiejętnie zajmowały się praktycznemi. Cała niemal ich filozofja jest etyką nauką moralnej mądrości. Niewolnik za mało wiedział, ażeby mógł objąć swą myślą cały obszar stworzenia, i za dotkliwie czuł dolegliwość życia, ażeby mógł nad czemś innnem się zagłębiać.

Jak się zachować w uciążliwych warunkach istnienia? jak zmniejszyć ich wrogą siłę? jak osiągnąć maximum możliwego szczęścia i sprowadzić do minimum przeciwności? — Oto były pytania, które na pierwszym planie stawały przed uwagą filozofa-niewolnika. Kto świat stworzył i nim rządzi? czem jest słońce lub dusza? ile jest w przyrodzie pierwiastków? jaka je siła łączy i rozdziela? te i tym podobne zagadki nie przedstawiały wielkiego interesu dla ludzi zbiczowanych i skłutych cierniami życia. Rozumie się nie tylko ich myśl zwracała się ku zagadnieniom praktycznym, ale nadto zwrócić się mogła jedynie w kierunku ściśle wytkniętym przez jej potrzeby. Filozofja niewolników mogła być tylko filozofją znieczulania się. Aby dobrze pojąć konieczność tego jej kierunku, uprzytomnijmy sobie kilka faktów postępowania starożytnych magnatów. Co tylko okrucieństwo ludzkie dla nasycenia swych pragnień wymyśleć może, wszystko to zrealizowali greccy i rzymscy obywatele w swym stosunku do niewolników. Jedni zabijali ich dla zaspokojenia prostej ciekawości przyjaciół, drudzy dla nieokreślonego kaprysu; niejaki Vedius Pollio karmił ryby mięsem niewolników, August kazał jednego z nich ukrzyżować za to, że mu zjadł ulubioną przepiórkę. Przez długi czas małżeństwo między niewolnikami nie było związkiem uznanym, wszystkie w jego zakresie przestępstwa nie podlegały karom, zeznania w sądzie wydobywano torturami, winnych tracono w najstraszniejszy sposób, starych i chorych wywożono na bezludne wyspy i pozostawiano głodowej śmierci, zdrowych przykuwano nieraz jak psów na łańcuchach przy wrotach. Poeci opowiadają, że piękne i czułe Rzymianki utykały ciało swych niewolnic szpilkami. Nie były to wprawdzie jedyne uczucia ludzi wolnych dla ujarzmionych, przeciętny wszakże ich stosunek krył więcej okrucieństwa niż łagodności katów i potężnie oddziaływał na skierowanie myśli ich ofiar. Bo rzeczywiście na jakąż inną drogę mogła wejść ta nieszczęśliwa myśl, jeśli nie na drogę wyszukiwania takich środków, któreby cierpienie znieczulić mogły? Ztąd też filozofja niewolników we wszystkich swych gatunkach była rodzajem moralnego chloroformu, którym zbolałe dusze usypiały się na przetrwanie krwawych operacyj niewoli. Nie wykazujemy jej logicznych i faktycznych błędów, bo ona inną być nie mogła. Co służy w zdrowiu może truć w chorobie, co zabija w szczęściu może utrzymywać w niedoli. Nie sięgając nawet domysłem w odległe miejsca i czasy, tuż blisko siebie sprawdzić możemy ten pewnik. Ile razy nas przygniecie religijna lub społeczna tyranja, mimowiednie zwracamy się do rozwiązywania zagadek życiowych i staramy się takiem skostnieniem przeciw niej zabezpieczyć, ażeby nie czuć skutków jej zaciekłości. Ucisk nie widzi w żadnem uczuciu tak strasznego dla siebie wroga, jak właśnie

w braku tych uczuć, które mógłby szarpać i drażnić, bo wtedy traci główną swoją sprężynę — zadowolenie. Gdy spodleni mówcy podbitej Grecji na rachunek spodziewanych łask od macedońskiego tronu krzywdzili publicznie godność i intencje walczących przeciw niemu rodaków, żaden demostenesowski gniew nie mógł ich tak pokonać jak spokojna wzgarda. Na niej bowiem tępią się zawsze nieuczciwe pociski, ona jedna zdolna tak przerazić narodowych potwarców, że często chroniąc się przed nią własnemi rękami ściągają sobie na szyjach pętlice.

Na taką to wzgardę przetopiła filozofja niewolników wszystkie w nich inne uczucia. Dyogenes wystawiony do sprzedania na rynku odpowiadał pytającym się: „chcę sobie kupić pana.“ Gdy potem uliczna publika szydziła z jego łachmanów i ubóstwa, odpędzał ją tak siekącym sarkazem, że w najśmielszych budził postrach. Skuty w stosunkach społecznych, wyzwolił się zupełnie w duchowych, ażeby tym sposobem stworzyć sobie niczem nieskrępowaną swobodę. Jako jednostka socjalna był on odsądzony od wszelkich obywatelskich praw. Czując krzywdę swej pozycji, przekonany że go zewsząd otacza niewzruszony mur ograniczeń, postanowił wynagrodzić sobie zewnętrzną niewolę wolnością wewnętrzną. Przenieśmy się tylko w położenie tego rodzaju ludzi a odrazu zrozumiemy ich szczególną logikę. Umysł potężny, pożądający ruchów nieskrępowanych, czujący się wyższym od tych którzy mieli władzę go poniżać, co mógł im powiedzieć znalazłszy się w kajdanach? Wolnym jest nie ten, który posiada przywilej dogadzania swym namiętnościom, ale ten, który im się oponować nie da. Dla tego nie wy jesteście swobodnymi, którzy dla osiągnięcia szczęścia potrzebujecie pałaców i zbytku, ale ci którzy będąc szczęśliwymi takich potrzeb nie znają. Cynik nie jest ujarzmiony przez swe pożądania wygody, roskoszy, miłości, zaszczytów i dla tego jest wolnym. Wy jesteście niewolnikami kobiet, opinji, dostatku, pieniędzy, pokarmu, służby, on czuje się od tego wszystkiego niezależnym, mieszka w beczce, karmi się surowizną, pije źródlaną wodę, okrywa się łachmanami, sypia na otwartem powietrzu, nie dba o uznanie, miłość i honory. To jest ideał człowieka wolnego — według filozofji niewolników. Czy ta filozofja mogła postawić wzór inny? Czy można wymyśleć inną wolność w niewoli? Nie! Stoicy rzymscy, druga szkoła tej filozofji, uczyli w rezultacie również tylko niepodległości duchowej i również ratowali nią spętanych więzami zależności społecznej. Cała ich etyczna teorja jest środkiem uśmierzającym moralne cierpienia, tak, że stoicyzm jest pierwotnym synem cynizmu, z którego się z łudzącem podobieństwem urodził. Taż sama apatja i moralna martwota, tenże brak nerwów czucia, taż sama obojętność i duma w społecznej niewoli, taż sama wreszcie niezależność od potrzeb i namiętności. Stoik był tylko ukształconym i uszlachetnionym cynikiem — obaj typami filozofów — niewolników. Historja zapamiętała mnóstwo faktów świadczących, jak szeroko zwłaszcza pierwszy z tych kierunków myślenia rozpostarł się między klasami uciśnionemi. Niewola była jego matką, on jej jedyną pociechą. System Dyogenesa stał się zwolna wyznaniem wiary, katechizmem uciemiężonych. Że zaś dogmaty tego katechizmu rozwijały się często w prostych umysłach szeregiem nowych i głębokich prawd, nie powinniśmy w tem widzieć żadnej zagadki. Na gruncie klasycznego świata okazał się tak zdumiewający urodzaj dusz z natury szczególnie uzdolnionych, że nieraz wielka mądrość płynęła z ust prostaczków jak bezwiedne natchnienie. W dyalogach Katona spotykamy filozofów sprowadzanych do wykładów ze stajni od pracy przy koniach. Zresztą, jest to faktem niewątpliwym, że nic tak nie uczy człowieka filozofować jak jego własne nieszczęście. Kto uważać umie, może nieraz w skargach żebraka dosłyszeć tak głęboką filozofję, że niejeden tytułowany myśliciel mógłby mu jej zazdrościć. Skoro cierpienie uczy rozumować i badać jego źródło, może dla tego wszyscy jesteśmy mniej lub więcej filozofami.

Skreśliliśmy w ogólnych rysach zasady filozofji niewolników w starożytnym świecie. Jak łatwo zrozumieć, jej wyznawcy musieli wprzódy przechodzić ciężką szkołę życia, która ich do takiego wyznania przygotowywała. Ludzkie matki, chociaż wzrosłe w niewoli, nie rodzą dla niej gotowych lodów i kamieni. Dzieci ich muszą się na własnych cierpieniach nauczyć cynicznej lub stoickiej teorji. Dopiero w późnym wieku mogli utatuować się całkowicie jej wzorami, napuszczając pszedtem zwolna swą duszę znieczulającą przyprawą. Nerw po nerwie musiał w ich czuciu pękać, zanim zupełnie przytępiła się wrażliwość. Ileż razy bolesny krzyk wydarł się w czasie tych krwawych operacyj! Ile razy duszone serce zadrgało kurczami konających pragnień!

Do

Wieszczów zapoznanych

z

Alberta Glatigny.

O wy Werterzy różnej postaci!
Wy zapoznani przez świat jenjusze,
Wy w walce niby z sobkowstwem braci
Stargane siły a animusze!
Serca wy wrzące płomienną lawą
Miłości ludzkiej i poświęcenia,
Co was ten żywot dłonią plugawą
W urny popiołów pełne przemienia...
Duchy wy lotne, prosto do nieba
Co wam więzieniem ta niska gleba!

Gdyby kto rzeczy przejrzawszy zbliska
Napisał słownik prosty a szczery,
I w nim właściwe włożył nazwiska
Na wasze dąsy, wasze maniery;
Gdyby kto trudu podjąwszy nieco
Zechciał na świadka biorąc sumienie
Do tych frazesów, co z ust wam lecą,
Przyczepić zaraz ich tłumacznnie —
Czy wiecie moi płaczkowie mili
Przenicowani, czembyście byli?

Jenjusz zaznany byłby nieukiem,
Co mu się wielkość nadała sama —
I co się białym osądził krukiem
Bo mu to pieszcząc szepnęła mama...
Bo z trzeciej klasy raz wziął nagrodę,
Bo dwa wierszyki sklecił niczego,
Bo go profesor musnął pod brodę,
I „Sprytny chłopak!“ rzekł do drugiego...
Gdy mimo praw tych nikt go nie kupi
„Świat mię nie pojął, bo świat ten głupi!“

Stargane siły, to rzecz znów inna —
Projekcik jakiś raz się nie uda
Wnet cała ludzkość tej zbrodni winna!
„Czemu się dla nas nie dzieją cuda?
Myśmy pragnęli“ — każdy z nich woła
„Ot patrzcie! dowód najszczerszych chęci!“
Sprobójcie jeszcze! Ha! gdzietam — zgoła!
Wolemy krzyczeć gdyby najęci;
„Świat ten nas dobił! W nierównej walce
Myśmy upadli, biedni zuchwalce!“

A oweż czuciem płonące łona
Pod świata niby skrzepłe oddechem —
Często to tylko złość oburzona,
Że jej ktoś służyć nie chciał z pośpiechem;
Że ktoś odmówił swojego karku
Na stopień w górę dla jegomości,
Że ktoś się poznał na złym podarku
I pokwitował ze znajomości!
Dalej więc! Naprzód! „Świat egoistą!“
Krzycz! wrzeszcz! narzekaj! łaj bajronisto!

Istna zasługa i ból istotny,
Tych komedjanckich nie znoszą fochów,
Pierwsza raz, wtóry, trzeci, stokrotny
Pewna swojego dźwiga się z prochów —
Drugi sam w sobie rad się zamyka,
Pociech nie szuka w próżnej gawędzie,
I tomem wierszy u czytelnika
O łez jałmużnę prosić nie będzie.
Wam to zostawia w chętnym podziele
O moi smętni poliszynele!

Paryż
d. 15 Stycznia 1876.

Naśladował
J. S. Chamiec.

Bitwa pod Iłżą

w r. 1831.

Z PAMIĘTNIKÓW F. BERZEVICZEGO.

(Dokończenie).

Gdy tak na przodzie wrzawa i strzały się rozlegają, — my w środku, parci wstecz przez cofające się nasze konie, nie wiedząc co się dzieje, nie możemy przez strome brzegi wydobyć się z wąwozu. Konie tłoczyły się jak stado owiec — że trudno było odszukać swego; mnie przecież udało się skoczyć na siodło i postępując w tył przy samym brzegu, dostrzedz jakąś ścieżeczkę, na którą skierowawszy klacz moją, wydostałem się szczęśliwie z wąwozu na czyste pole. Za mną wyskoczyło jeszcze kilku. Lecimy więc do góry, gdzie już wrzawa ustała i spostrzegamy dwudziestu dragonów i oficera w znacznej odległości już uciekających. Strzeliliśmy z karabinków i pistoletów za nimi lecz bez skutku, a dopędzić ich było niepodobieństwem. Sześciu naszych z kapitanem Duninem było ranionych a jeden z tych, który ich zbliżających się widział a znać nie dał, dostał płazem pałasza parę sińców na pamiątkę, aby na drugi raz lepiej oczy wytrzeszczał.

Wstydziliśmy się wszyscy tej porazki, lecz nie z powodu braku odwagi, ale z braku rutyny wojennej, której tyle posiadał nasz pułkownik, a niestety nie był w tej chwili obecnym. Nigdyby nie było przyszło do tej katastrofy gdyby był przytem Różycki — a tak, dla prostego taktycznego błędu, dla nieustawionej gdzie należy szpicy, naraziliśmy się na srom tak dotkliwy.

Moskale widocznie dla niepokojonia nas rozgłaszali fałszywie o ciągle nowych i zamierzonych atakach, bo i drugi raz podobnie, pod innem miasteczkiem, czekaliśmy całą noc na nich, ale nadaremnie. Lecz i tym razem — choć w innym rodzaju rezultat tego był bardzo smutny, bo miasteczko w znacznej części zgorzało. Gdyśmy bowiem zmrokiem opuścili nasze obozowisko, mieszczanie zabierali niedopałki z ognisk a nie pogasiwszy ich należycie, do swoich szop poskładali. — Około północy wszczął się z tego pożar i zrządził tym biednym ludziom znaczne szko-

dy. — Wrażeń tej nocy, która do dziś dnia tkwi mi świeżo w pamięci, sądzę, że nie wypada mi pominąć, zwłaszcza, że i Wy kochani koledzy uległiście zapewne podobnemu...

Przez cały ten dzień w obozie, bawiłem się różnemi dykteryjkami z kolegą naszym podporucznikiem Raczyńskim; jedliśmy razem z kociołka, — wypili butelkę wina — śpiewaliśmy jego ulubioną piosenkę „*Il faut pour ma felicité*“ — a ku wieczorowi uczuliśmy obydwa jakąś niedyspozycję. — Pókiśmy stali na własnych nogach, nie było tak źle; ale wieczorem gdy przyszło konno maszerować, pogorszył się nasz stan znacznie; — a gdy za miastem pułk nasz do przyjęcia mniemanego napadu frontem z lancami do ataku się postawił, już było nie do wytrzymania tak, że pułkownik to zauważał, i do furgonów odejść nam rozkazał. Pośród ciemnej nocy wałęsaliśmy się z pół godziny nadaremnie, — furgonów nigdzie odszukać nie było można! Nadybaliśmy tylko nasze armaty na gościńcu, i niedaleko tychże zsiadłszy z koni pokładliśmy się na pagórku krzakami zarośniętym. Chwila spokojnego zachowania się i spoczynku, uśmierzyła symptoma słabości; nie dziw więc, że w takim stanie przy spokojnem zachowaniu się trzymanych za cugle koni, w parę minut błogo pozasypialiśmy. — Nie wiem jak długo to trwało, — gdy w tem wrzawa, zdaje się pochodząca od miasteczka, przebudziła nas!... Cóż to za wspaniały widok przedstawił się oczom naszym! Armja uszykowana do boju, której w ciemnej nocy wprzód nie wiedzieliśmy, — teraz oświetlona łuną gorejącego miasta, przedstawiała jakby poczet martwych, nieruchomych zastępów. Później nieco, masy te rozpoczęły niemą defiladę, która na myśl „czy nie Moskale to?“ zgrozą nas przejęła. Było to od nas tak daleko, że ani mundurów rozpoznać ani komendy słyszeć nie mogliśmy, — a ten pożar w mieście utwierdzał nas w mniemaniu, że Moskale dla oświetlenia pola bitwy miasteczko zapalili, a teraz nazych szukają. Co tu robić? Jak się o tem przekonać?... przypomniałem sobie armaty nasze, i w tym kierunku chyłkiem pobiegłem. Armaty stały w tem samem miejscu spokojnie, bo przyczyna ognia już im była wiadomą. Niebożęta mieszkańce! pomyślałem, — za tymi przeklętymi Moskalami, choć ich nawet nie ma, wszędzie jak to mówią „ogony rosną.“ — Wróciwszy do Raczyńskiego, unosiliśmy się jeszcze długo nad tym z jednej strony smutnym, ale cudownym i pełnym majestatycznej grozy widokiem.

Jakieś feralne dnie dla nas nastąpiły, bo wkrótce mieliśmy znów smutne zdarzenie.

W okolicy Wierzbicy pokazał się podczas marszu nieprzyjaciel pod lasem. Odprzodkowano działa, przy których część naszego pułku i pluton jazdy Tatarów pod dowództwem rotmistrza Bielaka, dzielnego żołnierza, stanął w asekuracji, — reszta naszego pułku rozsypała się w tyraljery przeciw kozakom. Ja stałem w asekuracji dział na prawem skrzydle przy poruczniku Weleżyńskim, a przy nim stał pluton Tatarów. Utarczka tyralierów z kozakami szła niepomyślnie; raniono nam bowiem zaraz przy pierwszej wymianie strzałów konia a później żołnierza. Żołnierz ten, ranny w nogę, przyjechał do nas i opowiadał, że w natarciu na kozaka, gdy do niego już tylko na dziesięć kroków zbliżył się, ten lancą rzucił, trafił go w nogę a sam uciekł. Rotmistrz Bielak oburzony tem opowiadaniem — „szarżę na tych łotrów niech przypuszczają nasi tyraljerzy, powiedział, bo gotowi nam więcej szkody zrobić! ale ja ich sam poprowadzę!“ dodał — pocisnął konia i poleciał galopem.

Trzeba wiedzieć, że tyraljerzy zrażeni temi dwoma wypadkami, cofnęli się, i może o pięćset kroków ucierali się. Rotmistrz Bielak lecąc w galopie był bez wątpienia o jakie co najmniej ośmset kroków od kozaków oddalony, gdy w tem pada raptem z konia. Sądziliśmy, że spadł przypadkiem, — lecz tymczasem podoficer od Tatarów, który natychmiast na miejsce wypadku poleciał, wróciwszy z płaczem opowiadał nam, że go kula przeszyła. Tatarowie wszyscy rzewnie płakali i z nas nie jeden od łez wstrzymać się nie mógł, wszyscy go bowiem jako tęgiego żołnierza i dobrego kolegę nadzwyczajnie poważali. Mieliśmy zamiar, pogrzebawszy rotmistrza w miejscu, na którem padł, krzyż na pamiątkę postawić, lecz Tatarowie z Litwy zachowując swoją dawną religję, zamiast krzyża, słup z odpowiednim napisem wkopali.

Wspomnieć tu muszę, że rotmistrz Bielak prawie samochcąc zginął, — ponieważ jakimś fatalizmem pchnięty, poleciał tam bez żadnego rozkazu.

Wielu moich kolegów, z którymi nieraz o tem mówiłem, byli bardzo skłonni wierzyć nawet w fatalizm — i opowiadali, że kilkanaście dni przed tym wypadkiem, w miasteczku Przytyka, jakaś żydowica przy uczcie wróżyła śmierć rotmistrzowi Bielakowi i porucznikowi Dłuskiemu. Śmiali się naturalnie wszyscy obecni, — lecz gdy Dłuski na cholerę a Bielak od kuli zginął, każdemu przyszła na myśl żydówka wróżbitka — a Czajkowski nawet ubarwiając po swojemu, w swoich pamiętnikach o niej wspomina.*)

Koniec tej smutnej utarczki pod Wierzbicą był, że kozacy uciekli, a reszta Moskali, która się pod lasem okazała, znikła i my maszerowaliśmy dalej, pogrążeni w smutku za naszym dzielnym rotmistrzem.

Dzień jeden nie minął w spokoju, — jenerałowie bowiem moskiewscy Kwietnicki i Słotwiński nagromadziwszy znaczne siły, bezustannie nas z miejsca na miejsce pędzili. Nieraz udało nam się gdzieś jakiś ich oddział przetrzepać, przy których to utarczkach ja udziału nie miałem. Maszerowaliśmy więc prawie bez wytchnienia, ale smutny to był taki pochód i gdyby nie różne zabawne przygody, które nasze jednostajne życie ubarwiały, kto wie, czyliby się demoralizacja nie była wkradła do wojska naszego.

Serdecznie uśmialiśmy się niejednokrotnie z rónych zdarzeń. I tak, staliśmy raz obozem pod jakąś mieściną, — a ponieważ Moskale znikli nam z oczu, wybrałem się z kolegą Opolskim do tego miasteczka, ażeby się czemś posilić i nieco dla kolegów przywieźć. Wynaleźliśmy restaurację, przy której żadnej stajni dla pomieszczenia koni nie było, więc byliśmy zmuszeni poupinać konie do żłobu w domu zajezdnym opodal stojącymi Opolski, pomimo mojej perswazji, rozsiodłał swego. Po uprzątnięciu się z końmi udaliśmy się do restauracji, w której mnóstwo naszych za stołem na dopiekającą się pieczeń cielęcą czekało. W nadziei, że i nam się coś z tego okroi, zasiedliśmy również do kompanji połykając ślinkę na widok rumieniejącej się ćwiartki. W tem wpada dziewczyna z lamentem: „Moskale idą!“ Tłoczymy się jeden przez drugiego na dwór, — w rynku wrzawa — „Moskale idą!“ — wszystko ucieka gdzieś, wzbijając kłęby kurzu w powietrze. Biegniemy do naszych koni, — ja w momencie siedziałem na swoim, ale kolega Opolski musiał swego dopiero siodłać.

— A nie mówiłem ci abyś nie zdejmował siodła?!

— Zmiłuj się, nie zostawiajże mię bracie na pastwę tych bestyj, prosi Opolski.

— Bądź spokojny, nie opuszczę cię! i stanąłem w bramie z lancą do ataku. — Ale siodłaj szybko!

Opolski zaniepokojony, chwyta za siodło, rzuca na konia, mundsztukuje i nareszcie chce konia od żłobu odwrócić, lecz ten opiera się, jakby mu żal było pozostawić smaczne siano za drabiną.

— Siadajże prędko! bo w mieście jeszcze większa wrzawa, zapewne muszą być blisko, — lecz kilkakrotne usiłowanie skierowane ku obróceniu konia, okazało się daremne.

— Przeklęta bestja, ani rusz nie da się odwrócić — odrzekł Opolski i kopnął konia w bok, — a koń stoi jak wryty!

Nareszcie zniecierpliwiony w najwyższym stopniu podjeżdżam na drugą stronę i parsknąłem ze śmiechu. — Opolski rzucając siodło na konia, zachwycił ryngortem drążek oddzielający w stajni konia od konia i osiodłał go razem z tym drążkiem. W momencie potem siedzieliśmy na koniach, lecimy do obozu, a po drodze dowiadujemy się, że fałszywie zostaliśmy zaalarmowani, — Moskali nigdzie nie było! Opolski niechętnie słuchał, gdy o tem wspominałem, a ja dłuższy czas, a nawet i obecnie serdecznie się śmieję, gdy zdarzenie to na myśl mi przychodzi.

Parę dni później, stanęliśmy obozem nad wieczorem w lesistej okolicy, — a widać, nieprzyjaciel musiał być blisko, skoro nam ogni rozkładać nie pozwolono. Deszcz obfity począł padać, więc robiliśmy baraki wprawdzie z miękkiem posłaniem paprociowem ale pokrycie z gałęzi szpilkowego drzewa, które tak było przepuszczalne, że wkrótce choć w barakach przemokliśmy do nitki.

Około północy zawołano po cichu nasz pluton do koni, i wysłano na rekonesans, ponieważ wedeta gdzieś wystrzeliła. Deszcz lał ciągle a przy tem tak było ciemno, że zaledwie mógł się pluton zebrać i wsiąść na koń, zostawiając kilku żołnierzy, których odszukać było niepodobieństwem. Jeden tylko koń Wizoskiego odpiął się sam od sznura i stanął przy mnie w szeregu. „Wizoski! Wizoski!“ wołaliśmy głucho, ale nadaremnie! Koń poszedł luzem obok mnie na patrol.

Zwolna, cicho maszerowaliśmy jakiś czas, w tem: „Stój! kto idzie?“ ozwał się wiodący nas na przodzie. Nie ma odpowiedzi, postępujemy dalej: „Stój! kto idzie?“ zapytał powtórnie. I tym razem nie doszła nas odpowiedź, a przecież widzimy że ktoś stoi. Maszerujemy bliżej, objekt zarysowuje się wyraźniej, nareszcie przychodzimy, jak Don Kiszot — do młyna wietrznego pustego.

Nie natrafiwszy nieprzyjaciół wracamy do obozu, a koń Wizoskiego odbywa bez właściciela

*) Podobne wypadki wyczytujemy często w innych opisaniach wojen; — tak n. p. w czasie wojny Napoleona I. w Egipcie,—wróżbit, czerwony Arab przestrzega marszałka Desseux, aby się strzegł przed księdzem w Marengo i Desseux miał rzeczywiście od księdza zginąć!... Zajączek miał amulet, i z nim odbywał szczęśliwie bitwy; razu jednego zapomniał go ubrać i został ciężko rannym! I nie ma prawie wojny żeby coś podobnego się nie wydarzyło. Dziwne to zaiste i trudne do uwierzenia! Lecz pomimo zdrowej refleksji, więcej skłonni jesteśmy wierzyć jak temu zaprzeczać; niezgłębione są bowiem tajemnice przyrody.

porządnie rekonesans. Filut Wizoski, znalazł gdzieś dobre schronienie przed deszczem i spi, podczas gdy my daremnie przemoknięci do nitki włóczyć się musimy — mówiliśmy sobie. Zbliżamy się nareszcie do obozu, już słychać chrupanie koni,—w tem „oj! oj!“ wrzasło pod nogami konia Wizoskiego... „Co to? kto to?!“ zapytałem. „To ja! — ozwał się głos, — psia wiara wlazł mi na samą głowę!“

Był to Wizoski, który spał w bruździe przemoknięty jak my wszyscy, i jego własny koń włosy mu przydeptał. „Toż to twój własny koń! rzekłem, który z nami cały rekonesans odbył.“

Śmialiśmy się z tego wypadku, a Wizoski, któremu w pierwszej chwili na płacz się zbierało, śmiał się najwięcej i całował swego konia, że taki mądry i na calą głowę mu nie stanął.

Nie było już co myśleć o spaniu; chodziliśmy między kolegami szukając za jakiem śniadaniem, i dowiedzieliśmy się przytem, że drugi rekonesans wysłany w przeciwnym kierunku, szczęśliwszy od nas, zdobył i przyprowadził piętnaście koni. Przy brzasku dnia idziemy oglądać zdobyte konie i po drodze dowiadujemy się, że nie ma się po co trudzić, bo to konie naszego pułku. Rekonesans również nasz, który konie przyprowadził, opowiadał w nocy, że natrafiwszy na oddział moskiewski, zaatakował go i po zaciętej obronie, zsadził lancami piętnastu Moskali z koni i te zabrał — a reszta uciekła. Utarczka naturalnie, odbyła się z powodu przemoknięcia karabinów, bez strzałów. Po wschodzie słońca jednak, okazało się, że to konie nasze, i rozpowiadano, że rekonesans maszerując cicho, nadjechał na placówkę, która pozłaziwszy z koni siedziała i drzemała pod dębami trzymając konie za cugle. Usłyszawszy nagle jakąś kawalerję nad swojemi głowami, usunął się każdy raczkiem w las, zostawiając konie na Bożej opiece. Rekonesans w mniemaniu że ma konie moskiewskie w ręku, wymyślił historję bitwy.

Czekamy więc co powie placówka, która wkrótce pieszo nadejść powinna, — i rzeczywiście w godzinę może idzie piętnastu ludzi z lancami na plecach.

— Gdzie konie? pytamy.

— Nieszczęście! Moskali taka siła napadła na nas, — opowiadali, — że niepodobna było obronić się; skłuliśmy kilku a nakoniec byliśmy przymuszeni skryć się w lesie.

Śmialiśmy się wszyscy z tego wypadku, a żołnierze w uwzględnieniu, że to była noc bardzo przykra, wywinęli się jakoś przed karą na jaką zasłużyli. Skończyło się na ostrem napomnieniu.

Naprzykrzyły się już nam były te ciągłe rejterady bezowocne i z tego powodu zaczął nawet nasz pułk szemrać przeciwko temu, gdy razu jednego jakby dla złagodzenia tego nieukontentowania dostajemy rozkaz przygotowania się na wyprawę, która tej samej nocy w połączeniu z piechotą na obozujący pułk kozaków przy miasteczku, (którego nazwiska nie pamiętam) ma się odbyć. Plan był dobrze obmyślany. Piechota miała naprzód drogi poobsadzać, my zaś w kilku oddziałach na kozaków uderzyć.

Cichuteńko więc podstąpiliśmy pod miasteczko, — piechota obsadziła przesmyki, — a my, podzieliwszy się na kilka oddziałów uderzamy na obóz z przeciwnej strony; lecz kozaków już tam nie było! Wreszcie słyszymy rotowy ogień,— lecimy tam i dowiadujemy się, że jeden oddział naszej jazdy wpadł na naszą piechotę, która sądząc że to kozacy, rotowym ogniem go przyjęła, — szczęście, że nikogo nie trafiła! Dopiero gdy nasz oficer po polsku zakomenderował: „Teraz na nich! nie dać im nabić!“ krzyknęła piechota nasza: „Stój! stój! to swoi!“ — Wyjaśniło się też wkrótce dla czego kozacy się wynieśli. Żydówica jakaś z miasteczka wyszedłszy w nocy na dwór, spostrzegła ruch naszego wojska, i wysłała swego synka do obozu kozackiego z tem uwiadomieniem; kozacy cichutko się wynieśli, a my, gdy się dzień zrobił zamiast kozaków do niewoli zabranych, żydowicę ową z synem prowadziliśmy, nad którymi drugiego dnia sąd wojenny się odbył.

Znowu po różnych marszach i kontramarszach, szliśmy lesistą okolicą do Końska. Oficer moskiewski, wzięty przez naszą tylną straż do niewoli i przedstawiony jenerałowi, zeznał, że silna ich armia w ślad za nami postępuje. Pomimo tego stanął korpus nasz obozem pod Końskiem przy samych ogrodach. Poczciwi mieszkańcy witali nas serdecznie, przynosili różne pożywienie; — dziewczęta, chłopcy chodzili śmiało po obozie i przypatrywali się nam, czego im nie wzbranialiśmy, i owszem obdarowywaliśmy niektórych pieniądzmi.

W nocy jeden z chłopców, który był w obozie, i oglądał barak jenerała, wyszedłszy na dwór, usłyszał jakieś wojsko cicho maszerujące ulicą,— więc podsunął się do płotu i z mowy rossyjskiej wniósł, że chcą obóz nasz napaść. W jakim ubiorze wyszedł poczciwy chłopiec na dwór, w takim pobiegł o wiele krótszą drogą przez ogrody do obozu, dążąc wprost ku barakowi jenerała. Po drodze zatrzymała go wedeta zwykłem: kto idzie? „E to ja, Bartek, biegnę do jenerała, bo tam pod miastem ćma Moskalów wali się a wali.“ Żołnierz wskazał mu barak jenerała i Bartek opowiedział co widział i słyszał.

Wkrótce też stanął cały korpus na nogi i po cichutko maszerowaliśmy do lasu gościńcem — jedynym, nieobsadzonym jeszcze przez wojska moskiewskie.

Wchodząc do lasu słyszeliśmy turkot dział otaczających nasz obóz, — potem rzęsisty ogień karabinowy a nareszcie strzały armatnie, — lecz nas tam już nie było! Kilku oficerów naszych zabawiało się do późnej nocy w miasteczku, a gdy im znać dano że Moskale maszerują, siedli na koń i podchmieleni dążyli do obozu, lecz w obozie zastali już piechotę moskiewską. *„Kto idiot?“* zapytano. — Oficerowie zgłupieli! ale jeden z nich, więcej może pijany: „A wy tu draby co robicie?“ zapytał; — poczem nastąpiła salwa całych szeregów. — „Gałgany! nawet strzelać nie umieją!“ krzyknął tenże sam oficer i pocisnąwszy konia, wraz z kolegami szczęśliwie do nas dotarł.

Strzały armatnie padały ciągle do naszych ognisk.

W tydzień może później maszerował pułk nasz w eszelonach ku jakiejś wiosce na wzgórku położonej, gdzie jak nam doniesiono, miała być kawalerja nieprzyjacielska. W znacznem jeszcze oddaleniu od powyższej wioski okazał nam się oddział dragonów, złożony z dwudziestu ludzi i oficera, uciekających galopem ku lasowi; — chodziło nam o to, ażeby ich nie dopuścić do głównej armji, — ruszyliśmy zatem równie galopem za nimi.

Wzdłuż lasu rozstawiono pułk w kilku oddziałach, a z jednym sam pułkownik Różycki na czele popędził gościńcem w ślad za uciekającymi.

W tej pogoni związał się i padł koń pułkownika i ten wypadek wstrzymał oddział, ażeby pułkownikowi usłużyć; — jeden tylko podoficer Anaklet Bohdanowicz — cwałujący po za wszystkimi, zobaczywszy, że wszystko wstrzymało się w około pułkownika, nie hamuje w biegu swego konia, lecz pędzi dalej mając trzech czy czterech żołnierzy koło siebie. Oddalił się tym sposobem tak znacznie, że już ani swoich w tyle, ani dragonów przed sobą nie widział. Wlatują na drogę krzyżową i widzą ślady dragonów na prawo skręcają więc również w prawo i wkrótce spostrzegają dragonów tuż przed sobą sformowanych frontem ku nim. To Anakleta nie dekoncertuje, uderza w czterech na dwadzieścia i jeden — i zabiera wszystkich do niewoli. Nim nasi nadbiegli, już dragoni stali rozbrojeni.

Prawda, że Moskale wiedząc, że są prawie otoczeni, rzucili broń bez rozlewu krwi, alez zawsze był to dowód pięknej odwagi ze strony Bohdanowicza, gdyż nie mógł się tego spodziewać. Szlachetnie postąpił sobie także z oficerem, który przestraszony, trzos z pieniądzmi i wszystko co miał oddawał, byle mu nic złego nie robiono. Anaklet tego wszystkiego nie przyjął, tylko broń odebrał.

Ładownica owego oficera wisi do dziś dnia jeszcze u Anakleta jako pamiątka, że go po tej aferze na oficera awansowanego, — zdobiła.

Wypisałem tu te tylko wypadki, które mi w pamięci zostały, i być może, że dziś po tylu latach, porządku w jakim po sobie następowały, miejscami nie zachowałem, nie mniej są one przeto prawdziwemi. — Przez ciąg prawie dwumiesięczny od czasu bitwy pod Iłżą aż do wzięcia Warszawy, ileż to utarczek, w których ja udziału nie miałem, ile różnych przygód wam znowu kochani koledzy jest znanych! Nie zraziliśmy się nigdy, chociaż widocznie dążyła sprawa nasza ku upadkowi, a nawet i w perjodzie, gdy Moskale proklamację rozrzucili w korpusie naszym, nie traciliśmy otuchy! — Proklamację tę, zawiadamiającą nas o wzięciu Warszawy, i wystawiającą niedorzeczność prowadzenia dalej wojny, spaliliśmy z całą ostentacją na pałaszach, w czworoboku z wszystkich oficerów i wyboru wojska sformowanym, przy śpiewie: „Ojczyzna długo gnębiona...“

Przegląd naukowy

przez

Ludwika Wierzejskiego.

Że światło wywiera wielki wpływ nie tylko na życie roślin, lecz także i zwierząt stwierdzono licznemi doświadczeniami. Czyli zaś i jaki udział w tem ma oko, zbadał niedawno Otto Platen. Używał on do swych doświadczeń królików, którym drewniane pierścienie obejmujące szkła przed oczy przytwierdzał. Do tych pierścieni mogły być przyśrubowane nakrywki nieprzezroczyste, tak, że światło wcale do ócz nie dochodziło. Królika zamknięto w przyrządzie respiracyjnym, urządzonym w taki sposób, że ilość zużytego przez oddechanie tlenu, jako też wydzielonego bezwodnika węglowego mogła być wymierzoną. Doświadczenia robione były wielokrotnie na tym samym króliku, któremu na przemian oczy zatykano i odsłaniano, w różnych porach dnia przy różnem oświetleniu i po ciemku. Z doświadczeń tych okazało się, że pod wpływem światła działającego na oko przyjmowanie tlenu i wydzie-

lanie bezwodnika węglowego to jest oddechanie znacznie się wzmaga. —

Pierwiastek Selen w stanie krystalicznym posiada własność, że przy świetle lepiej przewodzi elektryczność niż w ciemności. Własność tę Selenu, którą już dawniej Wilougby Smith i Sale spostrzegli i opisali, zastosował Siemiens do fotometrji. Ogrzewał on niekrystaliczny Selen przez dłuższy czas do temperatury 210° C. albo ochłodził roztopiony Selen na temperaturę 210° C. i utrzymywał go dłuższy czas przy tej temperaturze, przez co Selen przeszedł w stan krystaliczny. Selen w takim stanie ma tę własność, że jego zdolność przewodzenia elektryczności zmniejsza się, gdy się ciepłota jego powiększa, podczas gdy Selen w stanie zwykłym zachowuje się w tym względzie odwrotnie. Promienie zaczerwone nie wywierają bezpośredniego wpływu na tę modyfikację Selenu. Rozprószone światło dzienne podwaja jego zdolność przewodzenia, a bezpośrednie światło słoneczne pomnaża ją dziesięćkrotnie. Wzmaganie się zdolności przewodzenia elektryczności przez Selen w skutek oświetlenia odbywa się bardzo szybko, podobnie też zmniejsza się prędko zdolność przewodzenia, jeżeli oświetlenie wstrzymanem zostanie. Powiększanie się zdolności przewodzenia nie stoi w prostym stosunku do wzmagania się światła, lecz zbliża się do stosunku drugiego pierwiastku siły oświetlenia. Fotometer Siemens'a składa się z dwóch płytek mikowych, między któremi umieszczony jest Selen, w który dwa płaskie druty spiralne tak są wtopione, że końce tych drutów jeden milimeter są od siebie oddalone, a przestrzeń między temi końcami drutów wypełnioną jest Selenem. Przeciwne końce tych drutów, z których jeden przechodzi przez galwanometer zchodzą się w małym kubku Daniela. Płytki mikowe zawierające Selen, umieszczone są na dnie krótkiej rurki. Chcąc porównywać dwa światła pod względem ich siły, zwraca się najprzód otwór rurki ku temu światłu, np. płomieniu gazowemu, którego siła ma być oznaczoną, tak aby promienie światła na przyrząd Selenowy padały. Wskutek oświetlenia wzmaga się zdolność Selenu przewodzenia elektryczności, a igła galwanometru doznaje zboczenia. Potem zwraca się otwór rurki ku tz. świecy wzorowej, którą się w takiem oddaleniu od fotometru ustawia, aby wielkość zboczenia igły galwanometru była ta sama co pierwej. Oświetlenie Selenu jest więc w obu razach jednakie, a siły świetlenia porównywanych ze sobą świateł stoją do siebie w odwrotnym stosunku kwadratów oddalenia tychże od przyrządu selenowego w rurce fotometru. Próby porównawcze wykonane z fotometrem Siemensa i fotometrem Bunsena dały zgodne wyniki, co dostatecznie przemawia za wartością przyrządu Siemensa, którego główną zaletą jest zupełne usunięcie wrażeń osobistych, na których przy badaniach ścisłych polegać nie należy. —

Lecoq de Boisbodran odkrył w roku 1875 w blendzie z kopalni Pierrefitte w Pireneach nowy pierwiastek, posiadający następujące własności chemiczne: Pierwiastek ten, któremu jego odkryciel na cześć Francji dał nazwę „Gallium," jest metalem. Tlenek jego strąca się cynkiem z roztworu zawierającego chlorki i siarkany. Amonjak strąca ten nowy metal w mięszaninie jego chlorków i cynku. W warunkach zdolnych utlenić Gallium jest jego tlenek rozpuszczalny w nadmiarze amońjaku. Roztwór siarczku amonu daje osad nierozpuszczalny w nadmiarze odczynnika. Siarczek jest barwy białej. Siarkowodor tworzy osad w obecności octanu amonu z nadmiarem kwasu octowego. W obecności soli cynkowych osadza się Gallium w postaci siarczków. W obecności kwasu chlorowodowego nie powstaje wcale osad. Sole tego nowego metalu osadzają się łatwo na zimno za pomocą węglanu barytowego. Chlorek Gallium może być łatwo odparowany w nadmiarze wody królewskiej, nie doznając przytem przez utlenienie się żadnej straty. Widmometalu Gallium składa się z dwóch linij fiołkowych, których spostrzeżenie było właśnie powodem odkrycia tego pierwiastku. Z odkryciem Gallium wynosi liczba znanych pierwiastków chemicznych 68. —

W świecie naukowym znanem jest zjawiskiem, że płomień lampy Bunsena przestaje świecić, jeżeli do gazu palącego doprowadzi się znaczną ilość powietrza. Zjawisko to tłumaczył Davy w ten sposób, że uważał jako przyczynę blasku żarzenie się cząstek węgla wydzielonego. Przy większym przypływie powietrza cząstki węgla spalają się zupełnie i wtenczas nie ma w płomieniu ciał stałych, któreby się żarzyły, wskutek czego światło płomienia bardzo się zmniejsza.

Nowsze doświadczenia Franklanda, Tyndalla, Knappa i Blachmana podały jednak w wątpliwość to tłumaczenie. Doświadczenia bowiem tych badaczy okazały, że nie tylko powietrze, które utlenia węgiel, zmniejsza blask płomienia, ale że ten sam skutek sprawiają także azot, chlorek wodu, bezwodnik węglowy, tlenek węgla i wód, a więc gazy nie podtrzymujące palenia. Knapp i Frankland tłumaczą to zjawisko w ten sposób, że twierdzą, iż światło płomienia zależy od stanu zgęszczenia gazów w płomieniu, a wprowadzenie w płomień powietrza lub jakiego innego gazu rozżadza gaz palący się i przez to zmniejsza światło płomienia. Blachmann uważa rozcięczenie gazu o tyle tylko za przyczynę zmniejszenia się światła o ile mniej w skutek tego spala się cząstek palnych na jednostce powierzchni płomienia.

Wibel zaś utrzymuje, że jedyną przyczyną zmniejszania się światła płomienia przy wprowadzeniu w płomień gazów obojętnych jest oziębienie gazu palącego się przez ciała obce. Twierdzenie swoje opiera Wibel na następującem doświadczeniu. Na zwykły palnik Bunsena, u którego podstawy zatkane zostały wszystkie otwory doprowadzające powietrze, oprócz jednego, przez który za pomocą przylutowanej rurki wpuszcza się gaz odbierający płomieniowi blask, wsunął rurkę platynową 8—10 centymetrów długą, i wpuszczał do płomienia gaz tak długo, aż płomień zupełnie świecić przestał. Gdy jednak rurkę platynową wsuniętą na palnik ogrzał od zewnątrz dwiema poziomo ułożonemi lampkami Bunsena, to w płomieniu pojawił się i w miarę ogrzania rurki zwiększał się świetlący stożek, który po oddaleniu lampek ogrzewających rurkę zmniejszał się, aż nakoniec zniknął. Wibel wykazał tem doświadczeniem, że przez ogrzanie rurki palnika można uczynić świetlącym płomień, któremu przez wpuszczenie w niego gazów obojętnych, blask został odebranym. —

Akademja umiejętności w Paryżu zajmowała się na posiedzeniu z dnia 6. września p. r. zbadaniem, kto był pierwszym, który robił doświadczenie z dwiema lampami dowodzące, że płomień jest zjawiskiem wytworzonym przez palenie się gazu. Chevreul sprzecznie ze zdaniem Melsius'a, który w swej rozprawie historycznej o belgijskim uczonym Van Hetmont przyznaje temu ostatniemu pierwszą wzmiankę o tem doświadczeniu, wykazał, że to doświadczenie opisał jeszcze w dwunastym wieku alchemik arabski Artephius.

Z powodu tego napisał Calliburces z Konstantynopola do Akademji paryskiej list, który był odczytanym na jednym z ostatnich posiedzeń p. r. w którym wykazuje, że jeszcze Aristoles znał powyższe doświadczenie, gdyż w dziele swojem *Μετεορολογικα* (ks. I. roz. 4.) w celu wytłumaczenia niektórych świetlanych zjawisk meteorycznych, porównywa je z zapaleniem się gazu wychodzącego z knota lampy właśnie zadmuchniętej. W tej samej księdze na innem miejscu określa Aristoteles płomień w następujących słowach: *Ἐστι γαρ ἡ φλοξ πνευματος ξαρου ζεσις.* (Jest więc płomień gazu suchego kipieniem.) Podobne określenia daje Aristoteles w księdze IV. tego samego dzieła, gdzie powiada: *Ἡ φλοξ πνευμα ἡ καπνος καιομενος εστιν,* (Płomień to gaz, który dymem palącym się jest.) i w księdze II dzieła: *Περι γενεσεος και φθορας* (O powstaniu i zniszczeniu.) gdzie mówi: *Μαλιστα μεν γαρ πυρ ἡ φλοξ, αυτε δ'εστι καπνος καιομενος.* (Przeważnie wprawdzie jest ogniem płomień, sam zaś jest dymem palącym się.) Określenie płomienia podane przez Aristotelesa, które pomimo ogromnych postępów jakie od tego czasu chemja poczyniła, nie straciło na wartosci, jest takie same jak to, które dał Van Helmont: „Flamma est fumus accensus," i nie wiele się rózni od określenia zformułowanego przez Newtona: „Annon flama vapor est, fumus, sive exhalatio candefacta, hoc est calefacta usque eo ut lumen emittat.", ani też od tego, jakie dał Davi: „Flamme is gazeous matter heated to highly as to be luminous."

Aristoleles jest więc pierwszym, który nietylko dał ścisłe określenie płomienia, ale także przytoczył doświadczenie, na którem swoje twierdzenie oparł. —

Znany żeglarz powietrzny Tissandier odbył w listopadzie przeszłego roku podróż powietrzną w towarzystwie Date-Poitevin, Alberta Tissandier, Ludwika Redier i braci Frantzen. Opisanie spostrzeżeń meteorologicznych poczynionych w tej wycieczce przedłożył Akademji umiejętności w Paryżu.

„D. 29go listopada 1875 — mówi Tissandier w swoim opisie — wznieśliśmy się w powietrze o godzinie 11ej i minucie 40 w Paryżu, w czółenku balonu „l'Atmosphere". Śnieg, który podczas naszego odlotu padał w lekkich kryształkach, ustał. Ciepłota aż do wysokości 700 metrów była —2 stopnie C. W tej wysokości masa chmur białawych, jak gdyby z opalu, rozciągała się nad powierzchnią ziemi, w grubości 800 metrów. Wlatując w te chmury, spostrzegliśmy zniżenie ciepłoty do —3 a później do —4 stopni C. Na wysokości 1500 metrów po przebyciu górnej powierzchni tej chmury, unosiliśmy się pośród prawdziwej ławicy z kryształków lodowych, wiszącej w powietrzu w grubości 150 metrów. Ciepłota była O. Kryształki latające około nas były przezroczyste, bardzo regularnie z gwiazd sześciokątnych ułożone, w wielkości 4 milimetrów w średnicy. Podwyższenie ciepłoty było bez wątpienia skutkiem utworzenia się tych kryształków i uwolnienia się ciepła przez zmarznięcie pary wodnej. Zjawisko utrzymywania się płytek lodowych w śród powietrza da się wytłumaczyć ruchem wirowym, któremu one podlegały pod

wpływem promieni słonecznych, odbitych od górnej chmur powierzchni. Chmury te były istotnie białości ćmiącej i przedstawiały aż do złudzenia obraz gór śnieżnych.

Gdy słońce zakryła chmura, wtenczas kryształki lodowe słabiej oświetlone, nie podlegały więcej ruchom wirowym. Prawdopodobnie spadały wtenczas w chmurę niższą i dostały się aż na powierzchnię ziemi, gdzie jak my to po naszym powrocie stwierdzili, były o wiele większe, lecz mniej regularne i nie przezroczyste. Z tych po sobie następujących zjawisk dałoby się wytłumaczyć przerywane padanie śniegu dnia 29go listopada.

W czasie naszego wznoszenia się poruszały się warstwy atmosferyczne wyższe i niższe w kierunku od południowego zachodu z chyżością 41 kilometrów na godzinę. Dwie masy chmur wyższych miały ten sam kierunek i tę samą chyżość.

Podniesienie się ciepłoty, któreśmy spostrzegli wznosząc się w powietrze, jest zjawiskiem, które się nam już wielokrotnie przedstawiało w naszych poprzednich wzniesieniach; trzeba zatem zrobić wiele zastrzeżeń pod względem prawidła zniżania się ciepłoty z wysokością. Dodamy nakoniec, że chmury lodowe spostrzegane często przez aeronautów nie znalazły jeszcze miejsca w klasyfikacji chmur; pomimo tego istnieją one często, należałoby więc ich nazwy umieścić obok tych nazw, któremi meteorologja inne postacie chmur oznaczyła, od których one tak bardzo się różnią.“

Kronika paryska.

Paryż dnia 15. marca.

Wychodzimy z „Teatru Francuskiego“, gdzie „Cudzoziemka“ (l'Etrangère) Dumas'a, po długich zjawiła się mitręgach i nie tracąc czasu, świeże z tej nowości literackiej posyłamy wam wrażenia. Naprzód ogólna charakterystyka utworu. Ci z łaskawych czytelników, którzy specjalnemu artykułowi o Dumas'ie, ogłoszonemu przed kilką miesiącami w „Tygodniu,“ choć pobieżnej użyczyli uwagi, przypomną sobie zapewne, jakie tam na podstawie znanego już „wczoraj,“ a nieznanem literackiem Dumas'a „jutrze“ wywodziliśmy proroctwa.

„Jeśli dając za wygranę abstrakcji i metafizycznym kwestjom, ściśle się zasklepi w kole spostrzeżeń towarzyskich, jeśli miast po chmurach ciężkiem, niezdolnem do tego bujać skrzydłem, na ziemskim, właściwym talentowi swemu poziomie, zechce zgłębiać przywary współbraci swoich i t. d. to ludzkość może go powita wysokim tytułem Molierowskiego sukcesora.“

„Jeśli zaś koniecznie zechce się drapać na wyżyny filozofji, za strome dla jego stopy i dalej nas takiemi jak *Femme de Claude* ugaszczać będzie cudakami, itd. to społeczeństwo w pogrzebowej o nim mowie wygłosi coś o „zwiędłych w proch nadziejach.“

Takie były proroctwa nasze niedalej jak rok temu i niestety dzisiaj „Cudzoziemka“ na ostatnią, ujemną, urzeczywistnia je stronę. Pomimo wszystkich możliwych wysiłków reklamy, pomimo nadzwyczajnych na wystawę wydatków. pomimo nakoniec doskonałej gry aktorów, publiczność, ta sama publiczność, która niezbyt dawno w tymże teatrze *Le demi-monde* huczniemi obsypywała oklaskami, dzisiejszy utwor Dumas'a przyjmuje chłodno, zaledwie że nie z niesmakiem, nie gwiżdżąc wprawdzie (przez pamięć na dawne zasługi), ale obojętnem milczeniem srogą autorowi wyrażając naganę. Za co i dla czego?

Jedyną tylko na to znajdujemy odpowiedź. Za to i dla tego łaskawi, że „Cudzoziemka“ pomimo różnicy w intrydze, w sytuacjach, i t. d., siostrzanem do „Klaudjuszowej żony“ uderza podobieństwem, i nie jest niczem więcej, jak tylko drugim rozdziałem tejże samej mistyczno-drakońskiej, przez Dumasa propagowanej teorji, według której jedynem skutecznem lekarstwem na rozkładającą społeczność chorobę cudzołoztwa, jest śmierć jednostki gangrenującej ciało małżeńskie.

N'arrachez pas! Guerissez! krzyczą dziś nawet dentyści; *„N'essayez pas de querir! C'est impossible! Arrachez!* w kilku już z rzędu sztukach opętany woła dramaturg.

W „Klaudjuszowej żonie“ skazaną na operację połową małżeńskiego ciała była kobieta. *Une guenon du pays de Gad*, jak ją autor nazywa. W „Cudzoziemce“ operacja odbywa się na mężczyźnie, księciu de Septmonts, którego charakter określa słowo „Vibrion“, z fizyki przez autora zaadoptowane.

Czyż nieprawda, że komentarze koniecznie potrzebne, i że gdybym z niemi nie pospieszył, bylibyście skazani jak na czytanie „Baśni o żelaznym wilku“, nie rozumiejąc z niej ni słowa? By zrozumieć, co to jest „Une guenon du pays de Gad“ do słownie „Małpa z krainy Gad“, trzeba przeczytać ową sławną broszurę, przed kilku laty przez Dumas'a ogłoszoną pod napisem: *Homme Femme.*

Kobieta, według Dumasa, bywa albo „kobietą świątyni“, albo „kobietą ogniska domowego“, albo „kobietą ulicy“, albo nakoniec „małpicą z krainy Gad“ (reminiscencje biblijne). Z tą ostatnią nie masz już ceremonji i jeśli ci los taką dał za żonę, to ją zabij, a społeczeństwo, jak Dumas powiada, rozgrzeszyć cię powinno, i — ani wątpić, rozgrzeszy.

By zrozumieć, co to jest „Vibrion“, trzeba wysłuchać uczonej demonstracji Doktora Rémonin, jednej z głównych postaci „Cudzoziemki“, którą tu w dosłownem przywodzimy tłumaczeniu.

„Vibrion“, to organizm pierwotny, zwierzątko według jednych uczonych; roślina według drugich, która zjawia się w płynach i w ogóle w ciałach, skazanych na rozkład, na zgniliznę. Spełniwszy swe zadanie, złożywszy we wskazanej na zniszczenie materji zarodki zgonu, „Vibrion“ znika i śmierć jego nie manifestuje się żadnym innym fenomenem, jak chyba pęknięciem drobnej zaledwie przez mikroskop dostrzegalnej bańki powietrznej, która się bez śladu rozpływa w nicości.

Są „Vibriony“ społeczne, mówi dalej doktor Remonin, towarzyskie, — gracz, rozpustnik, marnotrawca, uwodziciel itd., do nich zaliczeni być powinni i śmierć ich mniej lub więcej przypadkowa (tłumaczymy dosłownie: „*plus ou moins accidentelle*“) nie może większego wywołać żalu, jak śmierć tych mikroskopicznych żyjątek, których miljardy, po spełnieniu swojej misji zniszczenia, chwila w tajemniczej znikają nicości.

„Vibrion'em“ takim w „Cudzoziemce“ jest, jakeśmy to rzekli wyżej, książę de Septmonts; słuchacz wie z góry, iż on po spełnieniu misji zniszczenia zniknąć musi, że śmierć jego mniej lub więcej przypadkowa żadnego nie wywoła żalu i że ten, kto ją przyspieszy, do żadnej niepociągnięty odpowiedzialności, na pewne u trybunału społecznego liczyć może rozgrzeszenie. Czy widzicie, do jakich potwornych ostateczności doprowadzić może chęć bycia oryginalnym, manja reformatorska, lubowanie się nareszcie w metafizycznych kwestjach, gdy nas do takowych ani natura, ani odpowiednie nie usposobiło wykształcenie?... Aż do sankcjonowania mężobójstwa, które, w pewnych okolicznościach, pan Dumas zbawienną wykazuje nam koniecznością.

Zabiłem żonę! — może powiedzieć mąż taki... ale cóż chcecie? — to była małpica z krainy Gad i jako taka wcale na wasze nie zasługiwała ubolewania! — Pozbyłam się męża! — może szepnąć taka żona — ale cóż chcecie! to był „Vibrion“ spełnił misję zniszczenia i zniknięcie jego mniej lub więcej przypadkowe, nie więcej was obchodzić powinno, jak pęknięcie jednej bańki powietrznej w tej lub owej na rozkład, na zgniliznę, skazanej materji.

Okropność! Ohyda! Nieprawdaż? I to wszystko w kraju, który na rozwód nie pozwala, i to wszystko w kraju, który na księżnę de Beauffremont, (jakem wam pisał przed paru miesiącami) za czyn jej szczery i odważny, cnotliwie oburzone ciskał pioruny! Jeśli kto jednak, to książę de Beauffremont na „vibrion'a“ zasługiwał nazwisko. Marnotrawca, rozpustnik, mógł był zniknąć w sposób mniej lub więcej przypadkowy i księżna dla odzyskania wolności, nie potrzebowałaby do zbrodniczej rozwodu uciekać się ostateczności! Włosy powstają na głowie. O Dumas'ie! o domniemany Moliere'a sukcesorze, na jakże pewne narażasz się wydziedziczenie! Kędyżeś postradał dodatnie talentu twego strony? Ładną nutkę uczucia, dźwięczącą w niektórych scenach „Kameljowej Damy,“ zdrowy sens i ścisłą loikę, znamionujące sytuacje „Pół świata?“ Prawdziwie chrześcijańską moralność wreszcie „Naturalnego Syna“, „Marnotrawnego Ojca“ i „Pana Alfonsa?“ Kędyżeś postradał to wszystko, i jaki zgubny wpływ doradził ci opuścić proste i jasne drogi spostrzeżeń towarzyskich, a drapać się na strome abstrakcji wyżyny? Zaprzepaścisz bowiem na nich wszystko, i moralne znaczenie i materjalną sytuację, i pracą a talentem dwóch pokoleń zdobyte nazwisko. I szkoda nam cię będzie, żal okrutny, bośmy cię wysoko według twej dawniejszej szacowali wartości, bo nie widzimy nikogo, któryby po tobie, berło wyższej komedji udzierżyć był w stanie. Ale co pomogą lirycznie kondolencje a utyskiwania? Co pomogą rady recenzenta, zwłaszcza obskurnego, cudzoziemskiego recenzenta? Nie dojdą one słuchu, ni przekonania popsutego ciągłem powodzeniem pisarza, i co główna czytającej nie zabawią publiczności. Dajmy więc im pokój, a skonstatowawszy prawdę naszych przewidzeń i streściwszy charakterystykę dzisiejszej literackiej Dumas'a działalności, przejdźmy do treści ostatniego jego utworu.

Rzecz się dzieje za dni naszych w Paryżu. Książę de Septmonts, hulaka, rozpustnik, ostatecznie moralnie i materjalnie zrujnowany potomek historycznego rodu, dla odzłocenia na nowo koron swych a herbów, stara się o rękę panny Katarzyny Moriceau, córki wzbogaconego przemysłowca i *comme de raison*, otrzymuje takową z kilku miljonami posagu w dodatku.

Panna Katarzyna pała uczuciem dziewiczem dla towarzysza swych lat dziecięcych, inżyniera Gerard, i nie wychodzi za księcia, tylko za absolutnym rozkazem swego ojca.

Księcia de Septmonts oddawna już łączy czuły stosunek z pewną awanturnicą, Amerykanką Mistress Clarcson, i serce jego tylko po długiej walce, tylko znaglone żelazną koniecznością, na nowe, prawne przystaje związki.

Jak widzicie, sytuacja nie nowa. Każdy podobną codzień, na każdym spotyka kroku. Zwyczajne sobie dni naszych stadło małżeńskie. Dziejów jego, innemu pisarzowi, zaledwie że na krótką, moralnoobyczajową wystarczyłaby komedję. Zobaczycie, czem się one stają pod piórem Dumas'a, zakochanego w abstrakcji.

Bal, bal na cel dobroczynny w salonach nowej księżnej de Septmonts. Licznie zebrane towarzystwo przed rozpoczęciem tanów żywej oddaje się rozmowie. Mowa o wszystkiem. Doktor Remonin, przyjaciel domu, wykłada teorję o „vibrion'ach“, znaną już wam z góry, a zdradzającą dalszy rozwój sztuki. Własnej swej historji, nieprzewidując iż o nim mowa, zrestaurowany wysłuchuje książę. Pogadanka z kolei przechodzi na sławną awanturnicę, Amerykankę Mistress Clarcson, która od niejakiegoś czasu, przepychem swych strojów, wystawą życia, powszechną na siebie ściąga uwagę. Oburzają się nań cnotliwie piękne panie, potakują im obłudnie ugrzecznieni panowie. Wtem wchodzi służący i na złocistej tacy podaje księżnej wizytową kartę. „Mistress Clarcson“ — czyta gospodyni — ofiarowuje 25.000 fr. na ubogich za filiżankę herbaty, w salonach księżnej de Septmonts podaną arystokratyczną dłonią młodej gospodyni (!!).

Pojmiecie łatwo, jakie rumory wywołuje podobna propozycja w towarzystwie. Oburzona nią księżna wygłasza uroczyście, że dopiero wtedy zgodzi się na podobną profanację swego domu, jeżeli wpierw ktoryś z obecnych panów będzie miał dosyć cywilnej odwagi podać rękę i wprowadzić do salonu domagającą się wstępu awanturnicę. Gdy nikt nie spieszy z podjęciem tak rzuconej rękawicy — „Ja to uczynię!“ — woła gospodarz domu, i wybiegłszy, wraca po chwili, wprowadzając tę, która całej sztuce „Cudzoziemki“ użycza nazwisko.

Następuje przyjęcie, rzecz naturalna, lodowate. Dotknięta niem „Cudzoziemka“ bawi niedługo i wypiwszy podaną jej szklankę herbaty i szepnąwszy coś na ucho „księżnej“ (!), wychodzi na „vibrion'a“ wsparta ramieniu.

— Otwórzcie wszystkie drzwi na oścież! Dajcie tu wolny wstęp każdemu! — woła do służby po jej odejściu księżna. — Odkąd ta kobieta przesta-

piła jego progi, dom ten publicznem stał się miejscem!“

Nadto szanujemy naszych czytelników, nadto w nich wielkie zdrowego sensu i logiki przypuszczamy zasoby, by zadawać sobie daremny trud wytykania absurdów powyższej sceny. Iż podobno nigdy i nigdzie miejsca mieć nie mogła, to i bez nas każdy zrozumie. Panu Dumas'owi, jak widać, na tem nie zależy. Goniąc za efektem, zapomniał, że efekt tylko w ścisłym sojuszu z prawdą otrzymanym być może. Niemożebnych sytuacyj, fantazja byleby bujna wymarzyć może bez liku. Ale na cóż się to zdało, gdy nikt im nie uwierzy i nikt niemi wzruszonym i przejętym być nie może. Mimowoli znów zabójcze dla opisywanej sztuki „Demi Monde“ nabiegają nam wspomnienia. Ale patrzmy dalej.

Charakter skazanego na zniknięcie bez żalu „vibrion'a,“ miast się dalej rozwijać w progresji, usprawiedliwiającej potępienie, absolutnej i niczem niewytłumaczonej ulega zmianie. Wyrabia się z niego mąż zaledwie że nie przykładny, wyrzekający się dawnych błędów, obstający przy swoich prawach, i ku żonie nawet z pewną powracający czułością. To wszystko jednak nie rozbraja sądu nieubłaganego, z góry wydanego przez filozofa Dumas'a. „Vibrion“ zniknąć musi i basta!

Księżna natomiast, której czysta, kryształowa postać (taką ją widocznie chciał mieć autor) powinnaby mężowską uwydatniać brzydotę, księżna, powiadam, na dość szczególne puszcza się awanturki. Zaraz w następnym akcie spotykamy ją u kogo? U tej samej „Cudzoziemki“, która niedawno wywoływała z jej strony taką manifestację pogardy! Czego? Po co? Na co? Dla czego?

W tem to sęk właśnie, iż skomplikowane pana Dumas'a arcydzieło w żaden sposób nie daje się ująć w karby logiki, i jak może tak się sensownemu broni sprawozdaniu. Co chwila nieprzewidziany jakiś skok w prawo lub w lewo zmusza nas do raptownego ucięcia, lub jak teraz do powrotu nazad o całe staje. Niektórzy krytycy tutejsi nazywają to „dramatycznemi zuchwalstwami“, mybyśmy to słuszniej nazwali inaczej: „dramatycznemi bąkami.“

Przypomną sobie czytelnicy, żeśmy im coś wspomnieli o dziewiczem uczuciu panny Katarzyny Moriceau dla inżyniera Gerard. Otóż to uczucie przez „Cudzoziemkę“ wyszpiegowane, straszną w jej ręku przeciwko księżnej staje się bronią. O niem to na balu tajemniczo szepce jej do ucha. Jego to ponętą ściąga ją hardą do siebie. Tutaj dowiadujemy się, że mąż Mistress Clarcson egzystuje, że w Ameryce na czele złotodajnych stoi kopalni, i że to pod jego rozkazami ów Gerard świetnej dobija się karjery. Tutaj dowiadujemy się o całej awanturniczej Mistress Clarcson przeszłości, jako ona uwiedziona i zhańbiona w młodości swojej przez jakiegoś tam plantatora, zemstę całemu męskiemu poprzysięgła rodowi i święci ją w stolicy świata, w Paryżu (!!!). Tutaj dowiadujemy się o tylu zarazem rzeczach, że w głowie rodzi się zamęt, i w obawie, że z tej gmatwaniny nie zdołamy wybrnąć, wolimy przeciąć raptownie i jak się uda ku ostatecznemu zmierzać kresowi.

Między dwiema kobietami, księżną i Mistress Clarcson wściekła zaczyna się walka. Celem jej i bodźcem jest naturalnie ponętny Gerard, a ofiarą ów „vibrion“ nieszczęśliwy, który Bogu ducha winien, który doprawdy robi co może, by się wygramolić z otchłani potępienia, a na którego wszyscy — „Bij! zabij!“, jak na Hamana z wielkim wpadają łoskotem, wszyscy, nie wyłączając nawet teścia, pana Moriceau, który mu nierządną młodość wyrzucać zaczyna, jak gdyby się po raz pierwszy o niej dowiedział i jak gdyby oddając mu córkę, myślał, że ją jakiemuś nieskalanemu oddaje ascecie.

Rzeczy tak naciągnięte dochodzą bardzo daleko, bo aż do pojedynku między Gerardem a księciem. Ten ostatni, przejmując list kochanka żony, do niej pisany, i tą tak zwykłą a naturalną egzercycją małżeńskiego swego prawa, ostatecznie zabija siebie w publicznej opinji. Nie masz już dlań zmiłowania — i teść, własny teść jego, we wspomnianym pojedynku na przeciwnej staje stronie i Gerard'owi ofiarowuje swoją sekundanturę!!!

Pojedynek jednak nie przychodzi do skutku, w ostatecznej bowiem chwili zjawia się kto? Master Clarcson, mąż „Cudzoziemki“. Ten także *comment donc?* do nieprzyjaciół „vibriona“ przyłącza się chóru, ten także gromi go w sposób nielitościwy, ten nareszcie, coraz to wścieklejszym, niewiadomo za co, miotany nań gniewem, pali mu w łeb z rewolwera, po amerykańsku, i tym tak naturalnym (!), tak z toku rzeczy wynikającym (!!) czynem przecina za długą karjerę jego nieszczęść i błędów.

Przywołany doktor Remonin zgon „vibriona“ konstatuje, jak sam powiada, z przyjemnością. Turbowana nieco o zabójstwo popełnione w jej domu „Cudzoziemka,“ dobywa papier z kieszeni (patent na tajnego ajenta policji!!!!!), i na podstawie onego zupełnej dla siebie i dla męża domaga się bezkarności. Powabny Gerard cnotliwą poślubia Katarzynę. Zacny Papo Moriceau, ten sam, który niedawno córkę gwałtem wydawał za „vibriona“, teraz nagle skruszony błogosławi nowej małżonków parze i dramat zamyka się czułym nowożeńców uściskiem. Taki to stek absurdów, nonsensów, niedorzeczności, Dumas, pierwszy współczesny dramaturg, na pierwszej współczesnej (jak mówią Francuzi) odważył się postawić scenie. Ani jednego prawdziwego charakteru, ani jednej wiarygodnej sytuacji, zadanie fundamentalne błędne, przeprowadzenie onego niezgrabne, układ sceniczny pełen usterek — oto smutny bilans tej ostatniej produkcji tak ładnego niegdyś talentu!

Szukać w niej dobrych stron, byłoby rzeczą próżną. Nie masz ich zgoła. Błyszczący dowcipem djalog chyba? Ale czyż on jeden stanowić może sztukę? Przeciwnie. Mądre, dowcipne sentencje, włożone w usta nieżywych ludzi a sztywnych marjonetek, rażą w niej słuchacza. Scena „Teatru Francuskiego“ robi na nas wrażenie „Guignol'u,“ znanego teatru Marjonetek w Paryżu. Rozumne sentencje, ale niewypływające z toku akcji, tylko przyczepione jak kwiatek do kożucha, udobitniają jej bezsensowność, ubóstwo, lichotę. Rzekłbyś, że sztukę napisał ktoś inny, początkujący jakiś i niezbyt zdolny poeta, i że nędzną jej kanwę Dumas potem zahaftował swoich dowcipów przepychem. Nie wystarczyło mu takowego na zakrycie wszystkich usterek tła. Czernieją one tem widoczniej, iż podkreślone. Sąd powyższy absolutnie srogi i absolutnie potępiający, tem na czytelników zasłużyć powinien wiarę, iż wydaje go szczery a namiętny niegdyś talentu Dumas'a wielbiciel, i jako taki skłonniejszy do pobłażliwych uprzedzeń i niezdolny do rzucenia czarnej gałki, chyba wtedy, gdy inaczej uczynić nie może.

„Cudzoziemka“ sporo nam zajęła miejsca, nie do zbytku go nam zostaje na drobne nowiny. Bez tych jednakże kronika odpowiadająca swemu tytułowi obejść się nie zdoła. Zróbmy zatem jak można, i choć skąpą ich wiązanką łaskawego a względnego począstujmy czytelnika. By teatralną ostatecznie wyczerpać dziedzinę, krótka wzmianka naprzód o innych nowościach dramatycznych.

W teatrze „Vaudeville“ *Madame Caverlet*, komedja Emila Augier, dzieło sumienne, poważne, i jeśliby rzeczy oceniały się nie według wziętości, a według ich istotnej wartości, stokroć więcej, niżli „Cudzoziemka“ na detaliczne zasługujące sprawozdanie. Ale ba! Kronikarz nie czem innem, jak tylko ogólnych usposobień winien być echem. Otóż ze smutkiem wyznać musimy, iż pomimo licznych swych błędów „Cudzoziemka“ o wiele gwarniejszym cieszy się rozgłosem.

W „Varietés“ p. Goudinet, autor niedawno a słusznie oklaskami pokrytego „Pióropusza“, niegodną siebie i talentu swego postawił farsę karnawałową pod tytułem „*Le dada*“, po naszemu „Dziwactwo“, albo jeszcze lepiej „Zajączek“, która dłuższego nie warta wspomnienia; umrze wraz z karnawałem.

W „Gymnase“ nakoniec „Czarodziej“ (*Le charmeur*), komedja pana Ludwika Leroy, rzecz pusta absolutnie wewnątrz, ale dość zgrabnie napisana i w dość wdzięczne odziana szaty, dość ładnem cieszy się powodzeniem.

Z dziedziny książkowej: Prawie zupełna zalega ją cisza z wyjątkiem wspomnianego poematu pana Coppée, *Olivier* (pomówimy o nim w przyszłości) żadne wybitniejsze znanem nazwiskiem podpisane dzieło nie ukazało się na jej widowni. Zastój to zresztą jak się zdaje nietylko Francji jednej właściwy, lecz wspólny całej cywilizowanej Europie.

„Dwaj kanclerze“ (*Les deux chanceliers*), utwor pana Juljana Klaczki, niedawno ukończony w „*Revue des deux mondes*“, zjawił się w formie grubego tomu, nakładem wydawcy Plon. Przeczytawszy to dzieło po raz drugi w całości, nie zmieniamy naszego o niem zdania, wypowiedzianego w jednej z kronik dawniejszych. Dużo straconego marnie talentu, powtórzymy jak przedtem z głębszym jeszcze smutkiem, bo uzasadnionym rozwagą.

Słyszeliśmy z ust pewnych, jakoby wielka ilość prześlicznych listów ś. p. Zygmunta Krasińskiego w prywatnem tu w Paryżu spoczywała ręku. Listy te z powodu niektórych ustępów, dotykających w nich żyjących jeszcze osób, mają być skazane na długie, bardzo jeszcze długie pogrzebanie. Wielka szkoda. Czyby nie można sortując, wybierając, choć część ich jaką pokazać światu? W imieniu dzisiejszej generacji, całeby się to upomnieć winno dziennikarstwo.

Ot i list dobiegł do miary, za nietreściwość jego łaskawych przepraszając czytelników, i możliwą im na przyszłość obiecując poprawę, głębokim zakończymy ukłonem.

J. S. Chamiec.

Tak być musiało.

Powieść.

Napisał

JÓZEF ROGOSZ.

I.

Quisquis suae fortunae faber.

— Jak tu pięknie i wesoło... a w duszy tak smutno! — myślało dziewczę o włosach jasnych, oku niebieskiem i czole spokojnem.

— Doprawdy, tak mi smutno, a bez przyczyny — dodała półgłosem rzucając przeciągłe spojrzenie w świat daleki, który przed nią się roztaczał.

Siedziała na ławeczce drewnianej, na końcu cienistej alei lipowej. Na lewo alea biegła do gazonu zdobiącego fronton obszernego dworu wiejskiego, na prawo ostatnie jej drzewa rzucały cień na mur niewysoki, za którym ciągnęły się łany i lasy, przecięte nasypem drogi żelaznej i rwiącą rzeką, która płynęła aż z gór owych, widnych w oddaleniu mil kilku.

Dziewczę pochyliło główkę, a wsparłszy ją na dłoni, okiem spokojnem wpatrywało się w arabeski, które na piasku rysowała jej prawa rączka końcem białej parasolki. Sukienka na niej także była biała, tylko niebieska wstążeczka obwijająca kresę *à la Maria Stuart*, i tegoż koloru przepaska we włosach, przerywały monotonność ubrania. A pięknie jej było w tym stroju porannym, bo młodości, gdy się z nią skojarzy wdzięk wrodzony, we wszystkiem pięknie.

Czemu na twarzy dziewiczej osiadł smutek taki? Ona sama nie wiedziała... i nie raz bardzo ją to dziwiło, że jeden poranek witał ją wesołą, drugi zamyśloną.

Miała lat siedmnaście!

Z zadumy obudził ją świst nadjeżdżającej lokomotywy. Szybko powstawszy zbliżyła się do muru, a zasłaniając się parasolką od natrętnych promieni słońca, które wzbiło się już dość wysoko, przypatrywała się długiemu szeregowi wozów, które powoli toczyły się ku stacji, widnej na boku, o kilka tysięcy kroków. Pociąg był towarowy.

Z ręką na murze, stała patrząc przed siebie jakby bezmyślnie, a ptaki do koła świegotały na gałęziach, lipy rozlewały woń miodową i wietrzyk pochylał kłosy falujące na łanach obszernych.

Od strony dworu zbliżał się tymczasem mężczyzna słuszny i szczupły. Twarz jego była łagodna mimo wąsów sumiastych, a w oczach

nie zgasł jeszcze dawny płomień, chociaż włosy jak śnieg białe wydobywały się z pod słomianego kapelusza. Szedł zaś krokiem wymierzonym i trzymał się prosto, jakby za młodu wojskowo sługiwał.

Dziewczę nie słyszało cichych kroków na piasku, którym alea starannie była wysypana, i obróciło się dopiero usłyszawszy głos za sobą:

— Dzień dobry, Toniu, dzień dobry! Czy godzi się w dniu tak uroczystym nawet nie spytać o ojca? Szukam cię od kwadransu...

— Przepraszam cię, ojczulku, — odrzekła córka — ale gdym do ogrodu wychodziła, Grześ powiedział mi, że tatko pojechał do Romanówki.

— I uszczęśliwiona, że nie będziesz potrzebowała nudzić się ze mną, pobiegłaś dumać... O, filutko, to egoizm!

— Teraz jabym się powinna zapytać czy godzi się ojczulku oceniać mnie tak surowo? — odparła dziewczyna z uśmiechem.

A dziwny był ten uśmiech. Niby wesoły, niby figlarny, rzekł byś nawet nieświadomie zalotny — a jednak po za tą wesołością, bystre oko mogło dostrzedz jakby mgłę melancholji.

— No, no, nie gniewaj się dziecię! — zawołał starzec, biorąc głowę córki w swoje dłonie i wpatrując się w jej oczy niebieskie — Grześ prawdę ci powiedział. Do Romanówki sam dziś jeździłem, aby na folwarku wydać dyspozycje i pocztę odebrać, która dziś była bardzo obfita.

— Są jakie listy?

— Są do nas wszystkich.

— A od Edmunda?

— I od Edmunda, ale o tem potem... Toniu moja droga — mówił dalej starzec siadając na ławeczce, — dziś twoje urodziny, więc cóż ci życzyć w dniu tak uroczystym?

— Kochaj mnie tylko ojczulku, a będzie to najpiękniejszem życzeniem, bo wszystkie moje pragnienia będą spełnione.

— Wszystkie?... Miłość ojca to jeszcze nie wszystko moje dziecię! Ona sama nie zapewni ci szczęścia, a ja przedewszystkiem pragnę twego szczęścia.

— O, ja wiem żeś ty dobry, mój ojcze! — zawołało dziewczę, przyciskajęc usta do szorstkiej ojca ręki.

Starzec pocałował córkę w czoło, a łza, która mu z oka spadła na jej włosy jasne, zamykała w sobie wszystkie jego życzenie i całe błogosławieństwo.

— I cóż Edmund pisze? — zapytała Tonia po chwili, wpatrując się w ojca uważnie.

— Nic nadzwyczajnego... ukończył studja, podróżami znudził się, przynajmniej tak twierdzi, i...

— I co?

— Zgadnij.

— Nie wiem.

— I prawdopodobnie dziś do nas przyjedzie.

— Dziś?! — zawołała Tonia na wpół z radością, a na wpół ze zdziwieniem, i na bladej jej twarzy ukazał się rumieniec lekki, ale tak lekki, że osłabione oko starca nie mogło go dojrzeć.

— Tak mi się zdaje, bo list wysłał z Wiednia, więc jest już z powrotem. Zresztą gdyby nie miał zamiaru dziś przyjechać, byłby załączył życzenia dla ciebie.

— Jakto, więc o mnie ani wspomniał?

— I owszem... jak zawsze przysyła ci swoje ukłony.

— Ukłony... powtórzyła Tonia machinalnie, a odwróciwszy głowę patrzyła czas jakiś na szczyty gór, rysujące się na widnokręgu. Potem rzekła głośniej:

— Jak ci się zdaje ojczulku, czy z Edmundem powinnam być jak dawniej?

— A dlaczegożby nie? Wychowaliście się razem, on ciebie uważał za siostrę, ty jego...

— Prawda, — przerwała Tonia — ale nie widzieliśmy się blisko rok, więc może nie wypada... Mama utrzymuje, że panienka w moim wieku...

— No, no, jakoś to będzie! — odparł starzec całując ją w czoło.

— Toniu! Toniu! — dał się słyszeć głos silny, kobiecy, z przeciwległego końca alei.

— Mama mię woła, do widzenia ojczulku! Ale... gdzie listy dla mnie?

— Jest tylko jeden, zdaje mi się od pani Herminy, zostawiłem go na biurku w twoim pokoju.

— Antosiu! — dało się słyszeć jeszcze silniejsze wołanie.

— Ach! mama już się gniewa — szepnęła panienka, a pożegnawszy ojca odeszła krokiem przyspieszonym.

Na terasie narożnej, z której był widok z jednej strony na ogród, z drugiej na dziedziniec, okolony murowanemi zabudowaniami, stała osoba czterdziestokilkoletnia, niskiego wzrostu i wcale dobrej tuszy. Strój był na niej poranny, skromny, domowy; tylko biały czepeczek, ugarnirowany pąsową wstążeczką, kłócił się z twarzą równego koloru. Wsparłszy się o balustradę, patrzyła w głąb alei.

— Ach! Toniu, jak ty każesz długo na siebie czekać! — zawołała, ujrzawszy córkę nadchodzącą. — Ja wołam i piersi sobie zrywam, a ty idziesz jak byś nóg nie miała.

Córka nic nie odpowiedziawszy wbiegła szybko ne terasę od strony dziedzińca.

— Przepraszam cię mateczko — rzekła całując ją w rękę — ale chwilę z ojcem rozmawiałam.

— Że też wy zawsze macie z sobą do gadania, jak gdybyście się sto razy na dzień nie widzieli. Ja wołam i wołam, mało mi pierś nie pęknie, a wiesz przecie że na piersi coraz bardziej zapadam.

Tusza i cera twarzy mówięcej wcale tego nie potwierdzały. Tonia milczała.

— Już jedenasta, czas pomyśleć o toalecie.

— Ach, mateczko, mnie się zdaje że mojej toalecie nic nie brakuje.

— Co, w tym muślinie?

— Dziś tak gorąco!

— Ależ Toniu, cóżby świat na to powiedział? Moja córka nie może przedstawić się jak pierwsza lepsza szlachcianka lub popadjanka. Dziś właśnie kończysz lat siedmnaście, trzeba zatem przyzwoicie pokazać się światu. Weźmiesz...

Mówiąca nagle przerwała, gdyż w tej chwili bystre i wiecznie biegające jej oko, padło na małą wiejską dziewczynę, która wyszedlszy ze stajni szła szybko przez dziedziniec, ukrywając coś pod fartuszkiem.

— Iwrońka! — zawołała głosem donośnym, — poczekaj! — Co ty tam niesiesz? Pewnie mleko dla jakiegoś parobka! — Poczekaj, dam ja tobie!

— Proszę jaśnie pani — odrzekła dziewczyna w narzeczu małoruskiem zatrzymując się pod terasą i trwożliwie oczy w dół spuszczając — to próżny garnuszek dla pani Pędrackiej.

— Aha, próżny garnuszek, zapytam ja się... Ale wynosiłaś coś do stajni?

— Nie proszę jaśnie pani.

— To idź-że, czemu stoisz jak gęś! — i gniewnie ręką machnęła.

Dziewczyna odeszła, a pani zwróciła się znowu do córki.

— O czem to mówiłam? Aha... weźmiesz więc tę suknię pompadur, którą przywiozłam przed tygodniem i ten złoty garnitur, który ojciec darował ci zeszłego roku na imieniny. Dziś skończyłaś siedmnaście lat i w świat wchodzisz.

— Prawda, moja mateczko, ale ja się boję bym w tej sukni materjalnej z długim ogonem śmiesznie nie wyglądała.

— O patrzcie, dziś mędrsze jajo jak kura! Czy to ja nie wiem jaki dla ciebie strój najwłaściwszy? Przecie będziemy mieli mnóstwo gości, zjedzie się całe sąsiedztwo, a hrabia Dziunio także nas odwidzi. Nie chciałabym by o mnie miał złe wyobrażenie, bo za córkę tylko matka odpowiada.

— A mnie się zdaje, że sukienka muślinowa...

— Dosyć tego Toniu! Jak cię widzą, tak cię piszą! Już ja wiem najlepiej co komu przystoi — ubierz się więc...

Nie dokończyła, bo tuż za sobą usłyszała dźwięk padających talerzy. Zelektryzowana pobiegła do okna, które z kredensu wychodziło na terasę.

— O ty Grześku, niezgrabo, znowu coś stłukłeś! Na rany boskie pewnie moją porcelanę... Co ja mam z tymi ludźmi? Muszę ich wszystkich wypędzić, bo umrę ze zgryzoty!

— Proszę jaśnie pani, dwa talerze zsunęły się ale żaden się nie stłukł.

— Szczęście twoje, bo byłabym ci ztrąciła z zasługi. A jak będziesz Pawłowi pomagał przy herbacie to nie gap się niezgrabo, boś znowu gotów oblać kąpotem suknię pani habinie... Toniu — dodała wracając od okna — w sukni pampadur będzie ci bardzo do twarzy, a jak hrabia Dziunio zbliży się do ciebie, to staraj się rozmawiać z nim jak najdłużej i być dla niego bardzo grzeczną.

— Alboż ja dla niego byłam kiedy niegrzeczną?

— Nie, moja Toniu, tego nie twierdzę, ale uważałam kilka razy, że coprędzej chciałaś się go pozbyć.

— Bo mnie niesłychanie nudzi... O niczem nie można z nim mówić tylko o koniach i psach, a ja się na tem nic nie rozumiem.

— Nie powinnaś dziwić się moja Toniu, to dobry ton. Hrabia Dziunio bywa w takich towarzystwach, że z pewnością wie co wypada.

— Być może — odrzekła Tonia kwaśno — ale Hermina, która jest także hrabiną i obeznaną z formami wielkiego świata, podziela najzupełniej moje zdanie i nazywa go próżnym arogantem.

— E!... pani Hermina to znowu co innego... Ją gniewa że hrabia jej nie nadskakuje.

— Wątpię... mnie się raczej zdaje że chciałby, ale ona trzyma go z daleka.

— Ho, ho, Toniu, gdzieś ty się nauczyła takiego rozumu? Dopiero pół roku jak z pensji wróciłaś, a już robisz uwagi jak osoba dojrzała. Czy to tylko nie nauki pani Herminy?... przyznam się żeby mi się to bardzo nie podobało.

— Niech mateczka będzie spokojna — odpowiedziała Tonia poważnie, a głos jej brzmiał stanowczo; — nauki Herminy są tak szlachetne, że mogą wyjść tylko na moją korzyść. Nie znam osoby lepszej i rozumniejszej.

Matka chciała coś odpowiedzieć, lecz na przeciwległym końcu podwórza dał się słyszeć łoskot, i w tej samej chwili, przez wpół otwarte drzwi od stajni wypadło źrebię, i w dzikich skokach rzuciło się ku bramie ogrodowej, dokąd je wabiła zieleń pokrywająca gazon i rabaty.

— Janie! Walenty! Grzesku! Iwrońka! — zaczęła krzyczeć matka pięknej Toni — zamykajcie bramę! Na rany boskie, co ja mam z tymi ludźmi! To ty Iwrońka zostawiłaś od stajni drzwi otwarte. Poczekaj, dam ja tobie! A ty Walenty coś robił, żeś źrebięcia nie pilnował? O mój Boże! to same darmozjady, oni mnie do grobu wpędzą! Janie, zamykaj bramę, bo mi źrebię kwiaty potratuje!

— Kasiu, nie irytuj się tak, Kasiu! — dał się słyszeć głos poważny znanego nam już starca, który wracał z ogrodu.

— Nie irytuj się, dobrze ci mówić. ale gdybym ja tu nie pilnowała, toby wszystko marnie poszło.

— Przecież nie stało się żadne nieszczęście. Wielka rzecz że źrebię wybiegło. Złapią i odprowadzą.

I w rzeczy samej, służba zwołana donośnym głosem swojej pani, zamknęła bramę od ogrodu i sprawcę awantury odprowadziła do stajni. Tymczasem Tonia korzystając z ogólnego zamięszania, pobiegła do swego pokoiku.

Na biurku znalazła list od Herminy. Skromny monogram, biały papier i pismo dość duże, a kończaste, świadczyły, że list pochodził od osoby dobrze wychowanej. Pani Hermina wynurzając obawę, że gwałtowna migrena może jej nie pozwoli uścisnąć kochanej Toni w dniu jej urodzin, posyłała swoje życzenia wypowiedziane szczerze i bez przesadnej sentymentalności. Kończąc, załączyła także życzenia od wujaszka, który sam nie pisze, gdyż właśnie pracuje nad bardzo ważnym rozdziałem w swojej „Kronice świata."

— Szkoda że nie przyjedzie — szepnęła Tonia, list do szufladki chowając, a otworzywszy okno, wychodzące na ogród, usiadła przy niem i głowę wsparła na białej rączce.

Nie długo trwało a weszła matka krokiem przyspieszonym.

— Toniu, czemuś mi nie powiedziała, że Edmund ma dziś przyjechać?

— Bo nie miałam czasu. Zresztą nie ma nic pewnego. Tatko tylko przypuszcza.

— Ej, wy się coś zmawiacie! Pamiętaj Toniu abyś go przyjęła zimno, jak najzimniej, i niech cię Bóg uchowa mówić mu *ty*.

— A jak?

— Przecie wiesz że tego chłopca nie lubię.

— Wiem, mateczko, ale nie wiem za co... Wszak on mamę tak poważa.

— Poważa... piękne mi poważanie! Chodzi z ojcem całemi godzinami, bawi się z tobą, a mnie traktuje, jakbym tu była klucznicą, a nie panią domu. Młody człowiek, który starszych nie szanuje, nic nie wart. Moje przeczucia nigdy mię nie zawodzą. Dlatego jeśli kochasz twoją matkę i chcesz doznać błogosławieństwa boskiego, słuchaj mojej woli.

— Ale już rok prawie jak Edmund nie był w domu. więc może się odmienił... może teraz będzie tylko z mamcią rozmawiał.

— Czego się Jaś nie nauczył, tego się Jan pewnie nie nauczy. Pamiętaj Toniu! — dodała podnosząc palec do góry na znak ostrzeżenia.— A teraz zajmij się toaletą, zaraz ci tu Julcię przyszlę. (C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ TRZECIA.

T a j e m n i c a.

Rozdział IX.

(Ciąg dalszy.)

(*Nic ma wieści od Naba. — Propozycja Pencroffa i korespondenta odrzucona. — Kilka wycieczek Gedeona Spiletta. — Szmat materji. — Wiadomość. — Pospieszny odjazd. — Przybycie na Wielką Terasę.*)

Powrót do zdrowia rannego młodzieńca odbywał się w powolnym ale regularnym postępie. Jedno tylko pozostawało obecnie do życzenia, a to aby stan jego pozwolił na przeniesienie go do Granitowego Pałacu. Jakkolwiek bowiem wybornie zagospodarowanym i zaopatrzonym był dom mieszkalny w zagrodzie, nie można w nim było jednakże znaleźć ani wygody, ani warunków zdrowia takich, jak w Granitowym Pałacu. Co więcej, nie zapewniał on tyle bezpieczeństwa, i chwilowi jego mieszkańcy, pomimo całej baczności, znajdowali się wciąż pod grozą strzału piratów. W Pałacu zaś, w pośród owych niezdobytych i niedostępnych ścian, nie było się czego obawiać, każde bowiem nieprzyjazne dla osadników pokuszenie, chybiłoby nieodwołalnie celu. To też z niecierpliwością oczekiwali na chwilę sposobną do przeniesienia Harberta bez niebezpieczeństwa dla jego rany i zdecydowani byli uskutecznić te przenosiny, pomimo że droga przez las jakamarowy przedstawiała wiele trudności.

Od Naba nie było wprawdzie wieści, ale nie budziło to w osadnikach niepokoju. Odważny murzyn, obwarowany wybornie w głębiach Granitowego Pałacu, nie pozwoliłby się zajść z nienacka. Nie odesłano mu Topa napowrót, zbyteczną bowiem wydawało się rzeczą narażać wiernego psa na jaki zabłąkany strzał, który by mógł był pozbawić osadników najpożyteczniejszego pomocnika.

Oczekiwano tedy, z wielką chęcią jednak jak najprędszego ujrzenia się znowu w Granitowym Pałacu. Ciężko było inżynierowi widzieć, że siły ich są rozdzielone, co było wielce pomyślną rzeczą dla piratów. Od czasu zniknięcia Ayrtona osadników było już tylko w czterech na pięciu, Harbert bowiem nie mógł się jeszcze liczyć. Czuł to wybornie biedny młodzieniec i pojmował z wielkiem zmartwieniem ich kłopot, którego się stał niewinną przyczyną.

Kwestja, jak należy w warunkach obecnych postępować z rozbójnikami, rozebraną została gruntownie w dniu 29 listopada przez Cyrusa Smitha, Gedeona Spiletta i Pencroffa, w chwili gdy Harbert pogrążony w drzemce nie mógł ich słyszeć.

— Moi przyjaciele — rzekł korespondent, po krótkiej rozmowie o Nabie i niemożebności porozumienia się z nim — i ja jestem jednego z wami zdania, że odważyć się wyjść z zagrody znaczy tyle, co wystawiać się na strzały, bez możności odwetu. Czy wam się jednak nie zdaje, że najwłaściwszą rzeczą w danej chwili, byłoby wprost puścić się w pogoń za tymi nędznikami.

— Taka była i moja myśl — odpowiedział Pencroff. Toż, jak sądzę, nikt z nas nie obawia się kulki — i co do mnie jeżeli pan Cyrus się zgadza, gotów jestem natychmiast uderzyć na las. Cóż u djabła! Jeden człowiek wart przecież tyle co i drugi.

— Ale czy tyle co pięciu? — spytał inżynier.

— I ja się przyłączę do Pencroffa — odrzekł korespondent — a tak we dwóch, dobrze uzbrojeni, mając z sobą Topa....

— Mój drogi Spilecie i ty Pencroffie — odpowiedział Cyrus Smith — chciejcie no trochę pomówić na zimno. Gdyby piraci znajdowali się w pewnym oznaczonym punkcie wyspy, gdyby to miejsce było nam znane i gdyby chodziło tylko o wyparowanie ich ztamtąd, rozumiałbym atak wprost i otwarcie. Czy jednak nie należy się obawiać, że oni to zapewnili sobie pierwszy strzał?

— Ech! panie Cyrusie — nie każda kula idzie pod właściwym adresem!

— Ta, co ugodziła Harberta, nie zabłądziła po drodze, Pencroffie — odrzekł inżynier. Zresztą, zwróćcie uwagę i na to, ze jeżeli obadwaj opuścicie zagrodę, ja sam tylko do obrony jej zostanę. A czy możecie zapewnić, że rozbójnicy nie zobaczą was oddalających się, że nie pozwolą wam zapuścić się spokojnie w lasy, na to aby skorzystać z nieobecności waszej i uderzyć na zagrodę, w której będą wiedzieli, że znajdą tylko ranne dziecko i jednego obrońcę.

— Masz pan słuszność, panie Cyrusie — zawołał Pencroff z piersią wzdętą głuchym gniewem — masz słuszność. Gotowi zrobić to wszystko dla dostania się do zagrody, której zapaśność znają dobrze. A sam, nie zdołałbyś się pan im oprzeć. Ach! czemuż nie jesteśmy w Pałacu Granitowym!

— Gdybyśmy byli w Pałacu Granitowym — odrzekł iżynier — pozycja byłaby odmienną! Tam, nie obawiałbym się zostawić Harberta z jednym z pomiędzy nas, a pozostali wyruszyli by przetrząść lasy wyspy. Ale jesteśmy w zagrodzie i dla tego wypada w niej pozostać, aż dokąd nie będziemy mogli opuścić jej razem.

Nie było odpowiedzi na ten wywód Cyrusa Smitha i towarzysze jego aż nadto dobrze to pojęli.

— Gdyby przynajmniej Ayrton był jeszcze z nami! — zawołał Gedeon Spilett. Biedny człowiek! Jak krótko trwało jego życie w uczciwych społecznych warunkach!...

— Jeżeli już umarł?... — dodał Pencroff z osobliwszym naciskiem.

— Masz więc nadzieję, że ci hultaje darowali mu życie?... — zapytał Gedeon Spilett.

— Niewątpliwie! jeżeli to było w ich interesie!

— Jakto!... przypuszczałbyś więc, że Ayrton odnalazłszy swoich dawnych wspólników, z zapomnieniem wszystkiego co nam winien...

— Kto to może wiedzieć?... — odrzekł marynarz, nie bez wahania jednak stawiając to brzydkie podejrzenie.

— Pencroffie — odezwał się Cyrus Smith biorąc za ramię marynarza, myśl ta jest zła i zasmuciłbyś mnie bardzo, gdybyś przy niej obstawał. Ja zaręczam za wierność Ayrtona.

— I ja również — dorzucił żywo korespondent.

— No tak... tak! panie Cyrus... zawiniłem — odrzekł Pencroff. Była to w istocie zła myśl, której nic nie usprawiedliwia. Ale cóż panowie chcecie? Nie wiem już, dalibóg co się ze mną

dzieje. To uwięzienie w zagrodzie ciąży mi straszliwie i nie przypominam sobie, żebym był kiedykolwiek równie, jak dziś podrażniony.

— Cierpliwości Pencroffie — odpowiedział inżynier. — Jak prędko, mój drogi Spilecie, sądzisz, że będzie można Harberta przenieść do Pałacu?

— Trudno to oznaczyć, Cyrusie — odrzekł korespondent — najmniejsza bowiem niestrożność mogła by fatalne wywołać następstwa. Koniec końców jednak, rekonwalescencja przyjmuje regularny obrót i jeżeli od dziś za ośm dni siły mu powrócą — no, to zobaczymy!

Ośm dni! Tym sposobem powrót do Pałacu Granitowego mógłby nastąpić dopiero w pierwszych dniach Grudnia.

W tej epoce, wiosna już datowała się od dwóch miesięcy. Pogoda była prześliczna i gorąco dopiekać poczynało. Lasy wyspy znajdowały się w pełnem pączkowaniu a zarazem zbliżał się czas zwyczajnych zbiorów. W ślad więc za powrotem na Wielką Terasę, winne były natychmiast się zacząć wszelkie roboty rolnicze, z przerwą tylko potrzebnego czasu na zamierzoną wycieczkę w głąb wyspy.

Łatwo tedy pojąć, ile to zamknięcie w zagrodzie przynosiło szkody osadnikom. Musieli jednak nagiąć się w obec konieczności, chociaż nie bez mocnego zniecierpliwienia.

Raz czy dwa razy, korespondent odważył się wychylić za bramy zagrody i obejść na okoł palisadę. Top mu towarzyszył, a on sam z odwiedzionym karabinem, miał się na baczności na wszelki wypadek.

Nigdy dotychczas nie miał żadnego niemiłego spotkania, ani nie spostrzegł w około zagrody jakichkolwiek podejrzanych śladów. Zresztą pies byłby go ostrzegł o niebezpieczeństwie, a ponieważ nie szczeknął ani razu, wnosić ztąd można było, że nie ma powodu do obawy, przynajmniej w danej chwili i że piraci zajęci byli w której innej części wyspy.

Przy drugiej jednakże wycieczce; 27 listopada, Gedeon Spilett, zapuściwszy się na ćwierć mili w las, ku południowi góry, zauważył, że Top coś czuje. Pies stracił swoją zwykłą obojętną minę — biegał tam i napowrót, wietrząc po nałęku i krzakach, jak gdyby mu powonienie zdradzało jakiś podejrzany przedmiot.

Gedeon Spilett postępował wciąż za psem, zachęcając go i podżegając głosem a jednocześnie baczne naokoło zwracając oko, trzymając karabin w pogotowiu i korzystając z drzew dla zasłonięcia się. Nie zdawało się prawdopodobnem aby Top poczuł obecność człowieka, bo w takim razie byłby ją oznajmił szczekaniem na pół stłumionem i rodzajem głuchego gniewu. Tymczasem teraz ani warknął, a więc to znaczyło że niebezpieczeństwo nie jest ani w pobliżu ani natychmiastowe.

Tak przeszło z pięć minut, w ciągu których Top wietrzył ciągle i szukał a korespondent szedł za nim ostrożnie, gdy nagle pies poskoczył do gęstego krzaku i wyciągnął zeń szmat materji.

Był to kawałek ubrania, poplamiony i podarty. Gedeon Spilett poniósł go natychmiast do zagrody.

Tu osadnicy obejrzeli starannie ów przedmiot i rozpoznali w nim kawałek kamizelki Ayrtona, z sukna pilśniowego wyrabianego jedynie w pracowni Granitowego Pałacu.

— Widzisz, Pencroffie — rzekł zwracając się doń Cyrus Smith — oto dowód oporu nieszczęśliwego Ayrtona. Piraci go porwali gwałtem! Wątpisz że jeszcze o jego uczciwości?

— Nie, panie Cyrus — odrzekł marynarz — nie, i dawno już jak się pozbyłem owej chwilowej nieufności. Ale jak mi się zdaje, da się wyciągnąć pewien wniosek z tego wypadku.

— A mianowicie — spytał korespondent.

— Że Ayrtona nie zabito w zagrodzie. Wzięto go i zabrano żywcem widocznie, kiedy się opierał! kto wie tedy, może żyje jeszcze?

— Kto wie, w istocie — odrzekł inżynier zapadając w zamyślenie.

Był w tem jeszcze promyk nadziei, za który mogli pochwycić towarzysze Ayrtona. I w istocie, przed chwilą jeszcze mogli sądzić, że Ayrton zaskoczony z nienacka w zagrodzie padł od kuli, jak niedawno Harbert. Jeżeli jednak, jak się obecnie pokazało, nie zabili go odrazu, jeżeli go uprowadzili żywcem w inną stronę wyspy, nie możnaż było przypuścić, że jest dotąd jeszcze ich więźniem? A kto wie nawet, czy który z rozbójników nie poznał w Ayrtonie dawnego towarzysza z Australji, Ben Joyse'a herszta zbiegłych więźniów, i czy nie powzięli zuchwałej nadziei przyciągnięcia go znowu do siebie? Bo i jakżesz to dla nich pożyteczną byłoby rzeczą skłonić go do zdrady...

Wypadek powyższy pomyślnie wytłómaczyła sobie gromadka zebrana w zagrodzie i odszukanie Ayrtona przestało się odtąd wydawać niemożliwem. Zresztą nie ulegało wątpliwości że i Ayrton, jeżeli jest tylko więźniem, zrobi ze swojej strony wszystko co będzie w jego mocy, aby się wydobyć z rąk bandytów — a jakimże byłby obecnie potężnym pomocnikiem dla osadników naszych!

— W każdym razie — zauważył Gedeon Spilett, jeżeli Ayrtonowi uda się szczęśliwie wydostać z rąk porywców, niewątpliwie pospieszy wprost do Pałacu Granitowego, nie wie nic bowiem o morderczym zamachu, którego ofiarą padł Harbert, a więc nie może mu przyjść na myśl, że jesteśmy zamknięci w zagrodzie.

— Ach! chciałbym żeby już był w Granitowym Pałacu i my z nim! — zawołał Pencroff. Bo koniec końców, chociaż ci hultaje nie są w mocy nic uczynić naszemu siedlisku, mogą jednakże spustoszyć terasę, plantacje nasze, nasze kurniki!...

Pencroff stał się już prawdziwym rolnikiem, sercem przyrósł do swoich zbiorów. Powiedzieć jednak należy, że największą niecierpliwość w kwestji powrotu do Pałacu Granitowego, okazywał Harbert, pojmował bowiem dobrze o ile obecność osadników była tam niezbędną. I to on tylko zatrzymywał ich w zagrodzie! To też ta tylko jedyna myśl zajmowała wciąż umysł jego: opuścić zagrodę, opuścić ją bądź co bądź! Zdawało mu się, że ma dosyć siły, aby znieść przeniesienie do Granitowego Pałacu. Zapewniał, że zdrowie mu powróci daleko prędzej w jego pokoiku, w lepszem powietrzu i przy widoku morza!

Nieraz już naciskał o to Gedeona Spiletta, ale korespondent obawiając się i słusznie, ażeby rany młodzieńca, nie dobrze jeszcze zabliźnione, nie otwarły się w drodze, nie chciał dotąd wydać hasła do wyruszenia.

Naraz jednak zaszła okoliczność, która popchnęła Cyrusa Smitha i obudwu jego przyjaciół do zadosyć uczynienia żądaniu Harberta — ale sam Bóg wie tylko, ile to postanowienie boleści i wyrzutów kosztować ich mogło!

Było to 29 listopada. Ósma z rana wybiła. Trzej osadnicy zabawiali się rozmową w pokoju Harberta, gdy nagle usłyszeli żywe poszczekiwanie Topa.

Na ten odgłos Cyrus Smith, Pencroff i Gedeon Spilett, pochwyciwszy za strzelby zawsze gotowe do strzału, wypadli z domu.

Top obiegał z wewnątrz palisadę, skacząc i naszczekując, ale widocznie z radości nie z gniewu.

— Ktoś nadchodzi!

— Niezawodnie!

— I to nie wróg!...

— Może Nab?

— Lub Ayrton?

Ledwo inżynier i jego towarzysze zdołali zamienić te słowa, jakaś postać przesadziła palisadę i stanęła przed nimi na nogach. Był to Jow, pan Jow we własnej osobie, Jow którego Top iście po przyjacielsku przyjmował!

— Jow! — zawołał Pencroff.

— To Nab go nam przysyła! — odrzekł korespondent.

— Jeśli tak — ozwał się korespondent, to musi być jakiś bilet przy nim.

Pencroff poskoczył ku orangowi. Niewątpliwie, jeżeli Nab potrzebował udzielić jakąś ważną wiadomość swemu panu, to nie mógł użyć pewniejszego i szybszego posłańca od Jowa, mogącego przejść takiemi drogami, któremi ani osadnicy ani Top nawet może przejść by nie mogli.

Nie omylił się Cyrus Smith. Na szyi u Jowa wisiał maleńki woreczek a w nim znajdowała się karteczka, skreślona własną ręką Naba.

Wyobraźcie sobie rozpacz Cyrusa Smitha i jego towarzyszy, skoro przeczytali następujące wyrazy:

„Piątek, g. 6 rano.

„Piraci opanowali terasę!...

Nab"

Osadnicy spojrzeli po sobie w milczeniu i cofnęli się napowót do domu. Cóż mieli uczynić? Piraci na Wielkiej terasie, była to klęska, spustoszenie, ruina!

Harbert ujrzawszy wracających inżyniera, korespondenta i Pencroffa, odgadł że stan rzeczy musiał się pogorszyć, a spostrzegłszy Jowa nie wątpił już bynajmniej, że jakieś nieszczęście zagraża Pałacowi Granitowemu.

— Panie Cyrusie — zawołał — ja chcę wyruszyć w drogę. Czuję że zniosę jej trudy!... Ja chcę jechać!

Gedeon Spilett zbliżył się do młodzieńca. Stanął i popatrzył nań przez chwilę a potem rzekł:

— Jedźmy więc!

Bardzo prędko rozstrzygnięto kwestję, jak należy przeprowadzić Harberta czy na noszach, czy na wózku sprowadzonym przez Ayrtona do zagrody. Nosze niewątpliwie poruszałyby się łagodniej dla rannego ale wymagały dwóch ludzi, to znaczy odjęłyby dwie strzelby do obrony, w razie napadu w drodze.

Tymczasem nie możnaż było użyć wózka i tym sposobem zostawić wszystkie ręce na swobodzie. Nie dałożby się umieścić na nim materaców, złożyć na nich Harberta i posuwać się z ostrożnością, usuwającą wszelkie stuknięcie?... Owszem, można było.

Wytoczono więc wózek. Pencroff zaprzągł

doń onagasa. Cyrus Smith i korespondent podnieśli materace z Harbertem i umieścili go w głębi wózka, pomiędzy dwiema firankami. Pogoda była prześliczna. Jasne promienie słońca przebijały się przez gałęzie drzew.

— Broń czy w pogotowiu? — zapytał się Cyrus Smith.

Wszystko było w porządku. Inżynier i Pencroff, każdy uzbrojony w dubeltówkę i Gedeon Spilett z karabinem swoim w ręku mogli wyruszać.

— A ty, Harbercie, jak się czujesz? — spytał inżynier.

— Ach, panie Cyrusie, — odrzekł młodzieniec, bądź spokojny, nie umrę w drodze!

Widać jednak było, że biedny chłopiec mówiąc to, skupiał całą energję i ze szczytnem wytężeniem woli przytrzymywał siły, gotowe go lada chwila opuścić.

Inżynier czuł, jak mu się serce boleśnie ściska na ten widok. Zawahał się raz jeszcze z wydaniem hasła do odjazdu. Ale wyrzec się tej myśli, byłoto doprowadzić do rozpaczy Harberta, kto wie, zabić go może!

— Naprzód! — ozwał się Cyrus Smith.

Zaiste o wiele lepiej byłoby udać się inną drogą a nie tą która wiodła prosto z zagrody do Pałacu Granitowego, ale w lasach wózek byłby napotkał na niezmierne zawady. Pozostawało więc tylko postępować tą drogą, choć musiała być dobrze znaną zbiegom.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett szli po obu stronach wózka, gotowi odeprzeć każdy napad. Nie zdawało się jednakże prawdopodobnem, aby zbiegi opuścili już Wielką Terasę. Kartka Naba skreśloną była widocznie w chwili pojawienia się napastników. Chwilą zaś tą wyrażoną na kartce była godzina 6 z rana a ścigły orang, przywykły często biegać do zagrody, nie potrzebował zapewne więcej nad trzy kwadranse czasu do przebycia pięciu mil oddzielających zagrodę od Pałacu Granitowego. Droga więc powinna była być bezpieczną w danej chwili i jeżeli miał wypaść zkąd strzał jaki, to prawdopodobnie aż dopiero w pobliżu Granitowego Pałacu.

Na wszelki wypadek jednakże osadnicy zachowywali ścisłą ostrożność. Top i Jow, ten ostatni zbrojny w pałkę swoją, jużto biegnąc przodem, jużto myszkując po lesie otaczającym drogę, nie zwiastowali żadnego niebezpieczeństwa.

Wózek toczył się powoli, kierowany przez Pencroffa. Wyprawa wyruszyła z zagrody o wpół do ósmej. W godzinę potem, cztery mile z pięciu już były przebyte i to bez wszelkiej przygody.

Droga była pustą jak również i cała owa część lasu, rozciągająca się pomiędzy „Dziękczynną“ a jeziorem. Gęstwiny krzaków zdały się być tak samotne, jak w dzień wylądowania osadników na wyspę.

Terasa już było bliska. Milka jeszcze i spostrzegą mostek na potoku Glicerynowym. Cyrus Smith nie wątpił, że mostek ten musi być w całości i porządku, ponieważ piraci potrzebowali go do wejścia w tym punkcie na terasę, albo też jeżeli przeszli przez który z potoków opasujących terasę, spuścili go przez ostrożność, dla zabezpieczenia sobie w danym razie odwrotu.

Wreszcie przez przerwę między drzewami zabłysnął widnokrąg morza. Wózek jednak wciąż się toczył dalej, jak dotąd, bo żaden z obrońców nie mógł myśleć o opuszczeniu go.

Naraz Pencroff, zatrzymując onagasa, zawołał straszliwym głosem:

— Ach, nędznicy!

I ręką wskazał na gęste kłęby dymu unoszące się nad młynem, stajniami i zabudowaniami dla ptactwa.

Jakiś człowiek kręcił się wśród tych wyziewów.

Był to Nab.

Towarzysze jego wydali okrzyk. Usłyszał i poskoczył ku nim.

Piraci opuścili terasę już od pół godziny mniej więcej, spustoszywszy ją pierwej.

— A pan Harbert? zawołał Nab.

Gedeon w tej chwili stał już przy wózku. Harbert leżał bez przytomności!

(C. d. n.)

POGADANKI.

XIV.

Dziwnemi kolejami prowadzi Opatrzność losy narodów. Po owej wielkiej walce, którą mocarstwa europejskie stoczyły z Cezarem XIX wieku, zostało w Niemczech wspomnienie indywidualno-narodowego porywu, wspomnienie obudzenia się interesów jednej rany przeciw drugiej, i z tego wspomnienia, kazirodczo splecionego z ideami kosmopliteczn emi wielkiej Rewolucji francuskiej, wyrodził się ów kierunek pseudorewolucyjny, który niepokoił ojczyznę wszechgermańską od r. 1815 do 1830, a od 1830 do 1848. Matki szeptały dzieciom, nauczyciele uczniom, poeci takzwanemu ludowi coś — nieokreślonego. W gruncie może domagała się praw swoich idea demokratyczna, republikańska — ale ponieważ nie było dna, nie było gleby pod nią przygotowanej, rzecznicy jej ubrali ją w popularną, narodową szatę, i wydało się Niemcom posiadającym oparty na materjalnych warunkach byt narodowy, że brakło im imponującej na zewnątrz potęgi. Po swojemu, nie tomy, ale bibljoteki spisali o tem nieszczęściu swojemu. I mieli ludzie czynni, to jest, spisków i barykad, którzy zaludniali cytadele pruskie, bawarskie, austrjackie, wirtembergskie, saskie itd. w imię tego wielkiego jęku, który miał niby wyrywać się z piersi najrozmaitszym małomiejskim filistrom nad Dunajem, Elbą, i Spreą. I mieli poetów, którzy równym rytmem i grzmiącym rymem opowiadali światu owe niesłychane cierpienia uciemiężonych Germanów. Nie było szkoły ludowej średniej, ani wyższej, w którejby te aspiracje nieokreslone nie znalazły swojego wyrazu. Nie było książki cokolwiek prześladowanej przez cenzora, którąby nie wieściła światu ewanieli Teutonizmu zbawiającego ludzkość całą. Aż nakoniec i całe Niemcy sprzykrzyły sobie swoją dolę, i sprzykrzyło się to wszystko jednemu energiczniejszemu nad inne domowi panującemu, domowi — dorobkiewiczów. Dom ten, dom Hohencollerów, w kilku zamachach ziścił i marzenia poetów, i prześcignął człowieczków czynu — stworzył ogromne, przemożne państwo, dyktujące prawa Europie. A stanęło na tem, że s i ł a i d z i e p r z e d p r a w e m.

Możnaby mniemać, że po takiem powodzeniu, po takiem wielkiem zwycięztwie, tryumfująca potęga przytuliła do swego łona tych, co dzwonili na to kazanie, tych, co czterdzieści miljonów Niemców w roku 1870 rzucili na Francję jak jedną karną, posłuszną, nie myślącą prawie masę. Możnaby mniemać, że policja pruska przebaczyła — przynajmniej poetom, tym największym ze wszystkich zaburzycieli spokoju publicznego.

Nie!

F r e i l i g r a t h umarł na wygnaniu!

To tak brzmi, jak gdybym napisał, że była koronacje króla na Wawelu, a np. Bogdan Zaleski czytał o tem wiadomość w dziennikach francuskich, ale nie śmiał przyjechać do Krakowa. Bogdan, druh Adama, Zygmunta i Juljusza, — Bogdan, wieszcz polskiej Ukrainy!

F r e i l i g r a h t, syn, „czerwonej ziemi,“ Freiligrath, którego słowo poruszało Niemcy głębiej niż je teraz poruszyć zdoła najsroższy rozkaz z Berlina, nie śmiał wrócić nad swój Ren ukochany, nie wolno mu było wyzionąć ducha nad rzeką, której nurty dla tego dzisiaj nie płuczą francuskich słupów granicznych, d l a t e g o t y l k o, że on i jemu podobni wołali:

„Sie sollen ihn nicht haben
„Den freien deutschen Rhein!“

— — — — — — —

Kiedyś, Nemezis dziejowa strasznie zemści się nad narodem, który osiągnąwszy wszystko, o czem tylko mógł marzyć, w ten sposób zapomina i lekceważy duchowych twórców swojej wielkości. Być może, że i nas kiedyś wskrzesi do życia fizyczna, materjalna, zorganizowana jakaś potęga, ale lepiejby nam było nie zerwać kajdan, nie skruszyć jarzma, które nam cięży, aniżeli skłamać własnemu duchowi w ten sposób, jak duchowi swojemu kłamią nasi sąsiedzi zachodni! Zimny dreszcz przejmuje do serca, gdy się czyta objawy prasy niemieckiej przy sposobności wypadku, o którym wspominam. „Dixi, et salvavi animam meam,“ oto sens moralny najpodnioślejszych deklamacyj—głuchem milczeniem pominięta jest ta drobna okoliczność, że ubóstwiany po śmierci poeta nie mógł wrócić w okolice rodzinne z obawy przed p r u s k ą kozą, i umarł w królestwie w i r t e m b e r g s k i e m, dokąd jeszcze nie sięga biurokratyczna zajadłość hohencollerowskiego landrata.

— — — — —

Był to i nasz przyjaciel — nasz przyjaciel z dobrych czasów, kiedy sprawa polska a sprawa wolności ludów były synonimami, kiedy jeszcze nie mówiono, że Polska ma być papieską i jezuicką, albo nie być. Był to nasz przyjaciel z czasów walki prawa z siłą, w której, na dziś, siła tryumf odniosła. Ale nie ostatniego jeszcze do grobu poniesiono, nie ostatni raz dzisiaj słońce zajdzie nad nami! Przyjdzie ta chwila, w której wielcy i potężni, oglądnąwszy się po za siebie, nie znajdą nikogo, coby stał za nimi, bo powiedzą im wszyscy: Wyzyskaliście nas, wzmogliście się darami serc naszych, a w zamian, daliście nam tylko pęta — precz z wami!

To cień Freiligratha powiada możnowładcom pruskim, *to* kiedyś wolne ludy Europy powiedzą fałszywym swoim zbawcom - podporządkowywaczom, fałszywym przedstawicielom idei udzielności i niepodległości narodów. A ponieważ na grób męczeński, na grób wygnańca i tułacza, godziło się dorzucić garść naszej polskiej ziemi, niechaj te słowa moje będą listkiem bluszczu, złożonym na mogile obcego, a przecież nie obcego nam wieszcza!

Jan Lam.

Piśmiennictwo polskie.

Nieśmiertelne dusze. I. Ojciec Makary, dramat w 3 aktach Władysława Okońskiego. Kraków — nakładem księgarni Adolfa Dygasińskiego i Sp. 1876.

Nie pamiętamy, czy kiedykolwiek z większą skwapliwością braliśmy jaką książkę do ręki, jak przysłany nam zeszłego tygodnia egzemplarz „Ojca Makarego.“ Latwo sobie to wyobrazić, skoro się zważy, jakie namiętne krzyki w łonie ultramontańskiego obozu dramat ten wywołał, skoro się ma w pamięci, że komisja konkursowa krakowska złożona przeważnie z sług wszechpotężnego w Krakowie zakonu Lojoli, odsądziła powyższy utwor od czytania na posiedzeniu z powodu jego głębokiej niemoralności, jak nabożny *Czas*, gdy p. Okoński miał swój dramat publicznie czytać na dochód „Bratniej pomocy studentów Jagiellońskiego uniwersytetu,“ przestrzegał swoje owieczki, ażeby nie szły na powyższy odczyt, jeżeli nie chcą się w jak najkrótszym czasie zapoznać dokładnie z czeluścią piekielną, ze wszystkiemi jej ognisto-siarczanemi okropnościami. Ponieważ „Ojciec Makary“ zanim ukazał się na widok publiczny, stał się już głośnym z powodu swojej tendencji, o której niestworzone baśnie rozpowiadano, słuszną jest rzeczą, ażeby nasamprzód o tej tendencji, będącej u jednych największą zbrodnią, a u drugich zaletą dramatu, nieco obszerniej pomówić. P. Okoński w przedmowie do „Ojca Makarego“ zapowiada, że dramat ten jest pierwszą częścią całości większej, której następne kolejno się ukażą. Całemu temu cyklowi dramatów nadał autor tytuł: „Nieśmiertelne dusze.“ Z pierwszego dramatu pojmujemy myśl autora: dusze nieśmiertelne to takie, które głęboko myślą i głęboko czują, to Prometeusze przykute za swoje szlachetne porywy do skał jałowego życia i nędznych przesądów, to duchy wyższe walczące z niedołężnem, a tylko swą liczbą potężnem otoczeniem, to jednem słowem iskry boskie w człowieku przedzierające się na świat przez gnuśną powłokę niedorzecznych urządzeń społecznych, za któremi nic — chyba tylko wiek nie przemawia. Słusznie powiedział jeden z naszych poetów, że duch ludzki — to jedyny na świecie rewolucjonista: ciągle czegoś pragnie, ciągle dąży naprzód, do wolności, prawdy i piękna, bo to dążenie jest prawie jego istotą. Przedstawić ducha ludzkiego w tych jego najszlachetniejszych porywach, o to cel dramatów p. Okońskiego—oto „Nieśmiertelne dusze.“ Oprócz ogólnej wypływającej z powyższego zapatrywania tendencji, którą pozwolimy sobie nazwać teoretyczną, „Ojciec Makary“ ma drugą, wybitniejszą od tamtej—praktyczną. Dramat ten jest silnym, żywym, rozumnym protestem przeciw celibatowi księży i istnieniu zakonów. Pojmujemy dla czego stronnictwo ultramontańskie starające się zakonserwować wszystkie anachronizmy w kościele, uznało tendencję „Ojca Makarego“ za niemoralną, przypatrzmy się jednak, czy ona jest rzeczywiście taką, wobec poczucia słuszności, nauki i zdrowej logiki.

Zacznijmy od bezżeństwa księży. Bóg rządząc światem nadał mu mądre, stałe i niewzruszone prawa—prawa natury. Prawa natury—to prawa boskie, najwyższe i najlepsze, gdybyśmy bowiem przypuścili ich niedokładność, musielibyśmy odmówić wszechmądrości temu, który je nadał. Jednem z takich praw naturalnych w człowieku, boskich, bo przez Boga nadanych, jest dążność do związków małżeńskich. Jestże więc rzeczą słuszną skazywać pewną klasę ludzi na niemożność wykonywania tych praw naturalnych przez całe życie? Czyż można przypuścić w Bogu to nielogiczne żądanie, ażeby dla rzekomego podobania się jemu, ludzie nie wykonywali tych praw, które on im sam nadał? Rzeczywiście też Bóg tego nie żąda, a w najwyższym kodeksie moralności, w ewangelji, nie ma ani jednego ustępu, z którego coś podobnego możnaby wywnioskować. Pierwotne urządzenie chrześcijańskiego kleru okazuje jasno, że bezżeństwa nie uważano, jako warunku kapłaństwa: apostołowie, a następnie biskupi i kapłani byli żonaci. Celibat nie istniał, aż do początku naszego tysiącłecia, bo dopiero, jak każdemu wiadomo, Grzegorz VII jest jego twórcą. Po długich walkach silnie zorganizowanemu papiestwu, udało się nareszcie zaprowadzić obowiązkowy celibat kapłanów. Zaprowadzenie celibatu nie nastąpiło ze względów dogmatycznych, ale było czysto politycznej natury. Celibat księży w walce o inwestyturę przechylił szalę zwycięztwa stanowczo na stronę papiestwa, a wspólnie z wojnami Krzyżowemi, ugruntował świecką władzę rzymskiego biskupa w Europie. Że celibat nie jest dogmatem, ale tylko urządzeniem świeckiem, dowodzi tego najlepiej ta okoliczność, że obecnie nawet kościół rzymski posiada w swem gronie księży żonatych np. unitów. Znając historyczny początek i naturę celibatu, zapytajmyż się teraz, czy urządzenie to przynosi społeczeństwu korzyść, czy też szkodę. Szkodzi. Dla czego? Oto po pierwsze czyni tych, którzy dla swego kapłańskiego stanu są skazani na bezżeństwo nieszczęśliwymi: bo, albo kapłan, który zaprzysiągł celibat, dochowuje swej przysięgi, a w takim razie jest pozbawiony największej roskoszy życia — życia rodzinnego, albo nie dochowuje jej, a w takim razie staje się wobec siebie i społeczeństwa—krzywoprzysięzcą. Niestety większość księży należy do tej drugiej kategorji, co jest rzeczą bardzo naturalną, bo są ludźmi. Czyż to nie wywiera jak najgorszych wpływów na społeczność, czyż nie jest często powodem nieszczęścia i hańby całych rodzin, czy nie obniża kapłańskiej powagi? Niech czytelnik sam sobie odpowie. Czyż nie byłoby lepiej, ażeby księdzu odjąć możność, ba nawet potrzebę zostania krzywoprzysięzcą, a uczynić go dobrym małżonkiem, poczciwym ojcem rodziny, zrobić z samoluba — obywatela? Czyż żądanie takie jest niemoralnem? Przeciwnie jest ono moralnem, iście chrześcijańskiem w duchu Zbawiciela—ono dąży do zniesienia istniejącej przez wieki niemoralności, walczy w imieniu prawa przyrodzonego przeciw zbutwiałemu paragrafowi, w imieniu rodziny przeciw pasożytom, w imieniu wolności — przeciw kajdanom.

Długo i szeroko potrzebaby pisać, żeby zużytkować wszystkie argumenty przeciw klasztorom, tej anachronistycznej instytucji, której istnienie nie wielki zaszczyt XIX wiekowi przynosi. Instytucja ta mająca wschodnie pochodzenie, przeniesiona w średnich wiekach na grunt Europy wydała w swoim czasie piękne owoce dla cywilizacji, obecnie jednak przeżyła się zupełnie. Obecnie mnichy nie zamieniają już nieurodzajnych pustyń w kwitnące ogrody, bo obecnie odbywa się to daleko prędzej i w inny sposób, prasa drukarska uczyniła przepisywaczy manuskryptów niepotrzebnymi, a muzy bezpowrotnie opuściły smutne mury klasztorne i przeniosły się na jasny świat, gdzie im daleko lepiej i wygodniej. Cóż więc za korzyść przynoszą klasztory społeczeństwu? Gdzie niegdzie mnisi utrzymują liche szkoły elementarne, które daleko lepiej prowadziliby świeccy nauczyciele—oto wszystko. Czyż przynajmniej klasztory są cichem schronieniem nieszczęśliwych, którzy po zawodach światowych pędzą kontemplacyjny i spokojny żywot? Gdzie tam. Spojrzyjmy z jakich żywiołów rekrutuje się przeważnie kontyngens zakonników. Oto z młodych ludzi, którzy nie chcą lub nie mogą szkół kończyć i wolą zamiast pracować, odmawiać machinalnie pacierze. Nie mówimy tego o wszystkich zakonnikach, ale niestety o znacznej większości. Są między zakonnikami ludzie z sercem i głową, ale tych żałować musimy, bo żyjąc na świecie, czy to w stanie kapłańskim, czy innym byliby daleko użyteczniejsi. Obecne społeczeństwo chociaż toleruje jeszcze zakony, jest głęboko przekonane o ich bezużyteczności. Instytucja ta, jak każda, która się przeżyła, jest anomalją, anachronizmem, niepotrzebną naroślą na ciele społecznem. Rządy niejednokrotnie uznawały ją jako taką i znosiły zakony, a nawet w rzymskim kościele, nim do jego steru doszła partja rządząca obecnie, dawały się słyszeć głosy za zniesieniem, a przynajmniej stanowczą reformą klasztorów.

Widzimy z tego, że p. Okoński występując w swym dramacie przeciw bezżeństwu księży i klasztorom, nie tylko nie zachęca do żadnej rzeczy niemoralnej, ale owszem dąży do naprawienia złego, które istnieje. Zasługą jego, za którą cześć mu się należy, jest owa odwaga, z jaką podniósł te dwie ważne kwestje. Odwaga ta znamionuje w nim prawdziwego człowieka zasad, który czuje potrzebę wypowiedzieć prawdę. Jakże trudno się z nią dzisiaj spotkać!

(Dok. n.)

Uwagi do str. 695—734 polskiego tłumaczenie geografii Guthego. Warszawa. Nakład Maurycego Orgelbrandta 1875. (Dokończenie.)

Dnia 21. lipca 1865 wspomniany powyżej staw zwany Zamarzłym pod Polskim Grzbietem czyli Polską Przełęczą, 2008 m. nad poziom morza wzniesiony, tylko po brzegach miał lód [1]).

Str. 703, wiersz ostatni (Tat. 8, 33): „Pasznište łąki, które Górale zowią Halami.“ Jest różnica między halą a polaną. Hale są pastwistwa alpejskie, położone w krainie kosodrzewu i między turniami, sięgające miejscami po same grzbiety i szczyty, według jakości calca, wzniesienia nad poziom morza. położenia do słońca, ciepłoty i wilgoci lata porastające mniej lub więcej bujną trawą i służące prawie wyłącznie do pasania bydła, tj. u nas, na Liptowie i Orawie przeważnie owiec. Łąki, które się nawożą i nie spasają, lecz koszą, leżą niżej w krainie lasów i zwykle, przynajmniej u nas, polanami się zowią.

Str. 704, 21. Na mylnośc zdania tutaj wyrzeczonego już powyżej zwróciłem uwagę.

Str. 704, 22 (Tat. 9. 28) między głównemi dolinami północnego stoku Tatr opuszczono chochołowską.

Str. 704, 38 i 705, 1—3 (Tat. 10, 18 i 19) „Tu (od Babiej góry) przestając być działem wód, otrzymują pasma Karpat nazwę Gorca i wyginają się więcej ku południowemu zachodowi (ra-

[1]) Maryan Łomnicki, Wycieczka na Łomnicę tatrzańską. „Tygodn. illustr.“ Warszawa, 1868. Nr. 31, str. 58.

czej wschodowi)." Działem wód przestaje być główny grzbiet Beskidu nie od Babiej Góry, lecz od Żeleźnicy, szczytu odległego niemal o 3¼ mili na południowy wschód od Babiej Góry. Pol [1]) w tem miejscu rzecz po części jaśniej i lepiej przedstawia; Beskid zachodni sięga aż po wyłom Dunajca na przestrzeni od Sącza (raczej Krościenka) do Wojnicza, Babia Góra jest najwyższem w nim wzniesieniem, a na wschodzie Babiej Góry traci się nazwa Beskidu, atoli pod południkiem nie „zachodniego," lecz wschodniego ich krańca (tj. od Żeleźnicy) europejski dział wodny przebiera się z Beskidu ku Tatrom pograniczem orawskiej i nowotarskiej doliny. Tęto pomyłkę Pola powtórzył Tatomir, a za nim tłumacz Guthego.

Str. 705, 10. Jeziora (stawki lub jeziorka) „kolbachskie" leżą w dolinie „Zimnej wody," na dwa rozdzielonej ramiona, większe i mniejsze. Że nazwa Kolbach w uściech tamecznych Niemców powstała z Kaltbach (Koltbach, Kolbach, Zimna woda), o tem z Sonklara [2]) wiedzieć i nazwę niemiecką odpowiadającą jej polską zastąpić należało.

Str. 724. 4 (Tat. 41, 28): „Pierwszy (Czarny Dunajec) ma źródło w dolinie Kościelisko (poprawniej kościeliskiej), drugi (Biały Dunajec) w dolinie Zakopana (poprawniej zakopiańskiej." Co do źródła Czarnego Dunajca, miano tu na myśli niezawodnie, jak to pospolicie czytać można w pobieżnych ramotach turystów, bądź wywierzysko powyżej byłej karczmy po wschodniej stronie potoka kościeliskiego, bądź przepływ części tego potoka pod tak zwaną Pisaną. Że ten przepływ nie jest źródłem Dunajcowem, a w ogóle żadnem źródłem, na to już Zejszner zwracał uwagę, a za nim później inni [3]). Zaś co do wywierzyska czyli źródła powyżej karczmiska, aczkolwiek ono dwiema strugami zasila potok główny, przecież nikt go nigdy nie brał za źródło głównego potoka. O źródle tego potoka tem trudniej rozprawiać, skoro takowy powstaje z połączenia się koło Smytni i powyżej kilku pomniejszych potoków przybywających jakby promieniami rozłożonego wachlarza z rozmaitych stron górnej, rozłożystej części tej doliny. Zresztą czy potokowi kościeliskiemu, czy płynącemu z doliny chochołowskiej, czy obu równem prawem należy się imię Czarnego Dunajca, czy dopiero z połączenia obu tych ramion powstałej rzece, nad tem trzebaby się jeszcze zastanawiać. Co do Białego Dunajca, to wywierzysko potoka Kondrackiego pod Kalatówkami zarówno nie jest jego źródłem, jak potok biorący tutaj pozorny początek nie zwie się Dunajcem, lecz Bystrą [4]). Dopiero z połączenia Cichej, Bystrej, Olczy i Porońca powstała rzeka bierze nazwę Białego Dunajca.

Te i tym podobne usterki w tłumaczeniu geografji Guthego usunąć należało i mogły być usuniętemi, jeżeli „doprowadzenie wiadomości geograficznych do ostatniej chwili według najnowszych sprawozdań i pism geograficznych" miało być czemś więcej, aniżeli czczą przechwałką wydawcy, kompromitującą ostatecznie tłumaczów.

Napomknąłem powyżej, iż zamienienie w tłumaczeniu geografji Guthego wziętych z Tatomira geografji ogólnej wzniesień nad poziom morza i niektórych innych pomiarów na metry nie jest dokładnem. Na str. X. przedmowy do Geografji ogólnej powiada Tatomir wyraźnie, że „pomiary wysokości gór wzięte są w części z Koristki, w części z Fuchsa, a w części z Zejsznera." Otóż Koristka i Fuchs podają je w stopach wiedeńskich, Zejszner w stopach paryskich, co przy zamianie ich na metry uwzględnić należało, lecz nie uwzględniono. Przytaczam przykład. Na str. 7 podał Tatomir między innemi następujące wzniesienia: 8414, 8342, 8324, 8051, 8021, 7913. Są one wzięte z Fuchsa, a zatem stopy wiedeńskie. Zamieniwszy je na metry, otrzymamy 2659·51, 2636·75, 2631·06, 2544·77, 2535·29, 2501·15. W tłumaczeniu Guthego (702) mamy w tem miejscu 2719, 2705, 2704, 2614, 2605, 2560 m., tj. o 60 do 70 m. za wiele. Gdyby zaś podane powyżej stopy wiedeńskie wzięto za paryskie, co tłumacz Guthego rzeczywiście uczynił, zamieniwszy je na metry, otrzymamy 2733·20, 2709·81, 2703·97, 2615·29, 2605·54, 2570·45. Co do pomiarów wysokości w obrębie Tatr nadmienię jeszcze, iż prócz robót Zejsznera, Koristki i Fuchsa także pomiary Karola Kolbenheyera zasługują na uwagę.

Zamieszczony na str. 700—702 w przypisku podział Karpat, podający niektóre pomniejsze dzielnice i pasma w zachodniej połaci Karpat, np. Hale weterne, pasmo Inowieckie, Magurę orawską, pomija inne.

Co do podziału Tatr w tymże przypisku, zwróciłem już powyżej uwagę na jego sprzeczność z tem, co powiedziano na str. 700, 13 (Tat. 6, 3) na str. 703, 1—4 (Tat. 8, 1—3). Tutaj to jeszcze dodać muszę, że Magury spiskiej nigdy do Tatr nie liczono, a zaliczenie jej do Tatr nie zgadza się z tem, co powiedziano na str. 700, 14—15 (Tat. 6, 3—5), gdzie przełęcz Zdżarska zgodnie z prawdą przyjęta jako północną granicę Tatr. Na jakiej zaś podstawie Magurę spiską, sięgającą w kierunku zachodnio-wschodnim od Białki po przecznicę między Słowiańską wsią na stoku południowym, a Relowem na stoku północnym, ciągnącą się aż do Starej Wsi, przerzucono przez Dunajec, Pieniny i Beskidy aż ku Sączu, tego niepodobna pojąć. Cały ten przypisek dosłownie wyjęty z Koristki (Die hohe Tatra, str. 4 i 5), wszakże bez odwołania się. Uderza także w tym przypisku niepoprawność co do nazw geograficznych. „Hernad" zam. Hornad, „Gran" zam. Hron, „Turocza" zamiast Woda turczańska, „Igló" zam. Nowa Wieś, „Rima" zam. Rzymawa, „z Eipelem" zam. z Ipolą [1]), i t. p. w.

W przyp. 3 do str. 703 p. Wr. twierdzi, że kosodrzewina „w zachodniej Europie dalej Karkonoszów nie napotyka się." Jest jednak w Alpach wszędzie. Atoli ta niepoprawność wszędzie spostrzegać się daje, np. str. 497 „Pietrocca" zam. Pietrosze, „z Munkarzu" zam. z Mukaczowa; str. 498 „Sajo" zam. Słona, „pod górami Thebenu" zam. Dziewina, „góry Leita" zam. Litaby lub Litawy; str. 499 „między Granem a Waitzen" zam. między Ostrzyhomiem a Wacowem; 510 „Ostrzykoń" zam. Ostrzyhom; 511 „Maria-Theresiopol" zam. Szabudka; str. 579 „Wagram" zam. Ogruń, „Wittingau" zam. Trzeboń, „nad górnym Luschnitzem" zam. nad górną Łużnicą; „Mołdawa" zam. Wltawa; str. 581 „poniżej ujścia Mies-Beraunu" zam. Mży-Berunki „źródła mineralne w Teplitzu" zam. w Cieplicach; str. 582 „Elba" zam. Laba, „Taja" zam. Dyja, „z Adlerem" zam. z Orlicą, „Morawija" zam. Marawa, „Lautschna" zam. Łuczna; str. 583 „pod Tropawą" zam. pod Opawą; 584 „Neissa" zam. Nisa, „Dziki Orzeł" zamiast Orlica; str. 585 „do Jaueru" zamiast do Jaworza, „do Bunzlau" zam. do Bolesławia, „wzdłuż brzegu Bobera" zam. Bobrzy; str. 586 „Reicherberg" zam. Liberzec; str. 587 „góry kruszcowe" zam. Rudawy czeskie; str. 591 „strumienie Egeru" zam. Ohrzy; str. 583 „Kromierz" a 663 „Kromeżyr" zam. Kromierzyż; str. 650 „Obersasów, Niedersasów" zam. Sasów górnych i dólnych; str. 663 „Friedland" zam. Mirów, „Znaim" zam. Znojmo, i b. w. p.

Wytknięte powyżej korzystanie z obcych prac w sposób prawie dosłownego wypisywania bez ich podania i bez krytycznego zastanowienia się, bez porównania prac dawniejszych z świeższemi i bez znajomości najnowszych spostrzeżeń można i w innych miejscach. Tak np. na str. 667 cały ustęp o Wielkiem księstwie Poznańskiem wypisany jest prawie dosłownie z wydania siódmego E. K. Gaultiera Geografji powszechnej przez Ł. T. (We Lwowie 1873) str. 130—132. Z tejże samej książki str. 99 i z Geografji ogólnej Tatomira str. 384—388 odpisano z skróceniami i zmianami zastosowanemi do tamecznej cenzury rzecz o królestwie polskiem (str. 800 i następ.), pozostawiając atoli nawet pomyłki drukarskie, np. str. 800 (Gaultier str. 99) "Mieczysław 866" zam. 966, str. 801 (Tat. 386) „Brasławskie" zam. Brasławskie, powtórzono str. 802 błąd (Tat. 387) „Wielkiego księstwa Warszawskiego" zam. księstwa Warszawskiego.

Poprzestaję na poprzedzających uwagach, gdyż nie miałem zamiaru pisać oceny ani całej książki ani wszystkich ustępów dodanych do pierwotnego textu Guthego; nie miałem uwagami mojemi zamiaru, ujmować także wartości i zasługi przyswojeniu piśmiennictwu naszemu książki tak pożytecznej, jaką jest geografja Guthego. Że pisanie dzieł geograficznych wymaga niesłychanie wiele pracy i uwagi przy zbieraniu szczegółów, że mianowicie liczby w geografjach przychodzące po większej części nieustającym ulegają zmianom, przedstawiając po części ilości ruchome czyli niestałe, każdemu wiadomo. Mimo największej zatem skrzętności i uwagi do prac treści geograficznej wkraść się mogą niedokładności i pomyłki, i jedynie wielka ścisłość podjętej pracy ochrania od zarzutu, a pomyłki mimowolne, których czasem niepodobna uniknąć, prostują się przy danej sposobności. Życzyć zatem wypada, ażeby i Guthego geografji tłumaczenie polskie doczekało się nowego wydania sprostowanego i zbogaconego wszędzie, gdzie tego potrzeba, a naiwna oryginalność pracy o wschodniej Słowiańszczyźnie, którą zbogacono tłumaczenie geografji Guthego, powinnaby zachęcić do tego. Korzystano z pism Tatomira i innych w sposób oryginalny. Dlaczego atoli z nich tak korzystano? Bo je uważano za dobre, a innych nie znano. Że zaś źródeł, z których jak bądź korzystano, a mianowicie tych,

[1]) Północne stoki Karpat. Str. 20.

[2]) K. A. Sonklar v. Innstädten, Reiseskizzen aus den Alpen und Karpathen. Wien, 1857. Str. 128.

[3]) (Marya Steczkowska.) Obrazki z podróży do Tatrów i Pienin. W Krakowie, 1858. Str. 95. Wyd. 2. Tamże, 1872. Str. 116. — Janota, Przewodnik w wycieczkach na Babią Górę, do Tatr i Pienin. Kraków, 1860. Str. 29. — Walery Eljasz, Szkice z podróży w Tatry. W Poznaniu (i Krakowie). 1874. Str. 122.

[4]) Eljasz, Szkice. 77. — Karl Kolbenheyer, Zweiter Beitrag zur Kenntniss der „Hohen Tatra." Dr. A. Petermann, Mittheilungen. Gotha. 1874. 307a.

[1]) Do takich zamian najlepiej używać tablic w E. Behm, Geograph. Jahrbuch. I. Band. 1866. Gotha. XXXV i następ.

[2]) Na str. 498 podano dobrze imię tej rzeki.

z których najwięcej brano, nie wymieniono, to było nieprzezornością wynikłą może z przypuszczenia, że nikt takiegoto przywłaszczania sobie cudzej własności nie spostrzeże. A przypuszczano to może dla grubości książki, bo u nas takich książek nie wielu kupuje a jeszcze mniej czyta. Życzę, aby co do jednego i co do drugiego przeciwnie się działo.

W listopadzie 1875 r.

Dr. E. Janota.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Kobieta polska w zaborze pruskim napisał N. N. Kraków — Kornicki — 1876.

Broszurka niniejsza, jak sam autor w przedmowie wskazuje, ma być uzupełnieniem dziełka: „Oświata ludowa w zaborze pruskim.“ — Nie mając tej drugiej książki pod ręką zastanowimy się nad niniejszą. W ostatnich czasach kwestją posłannictwa kobiety zajmywano się wszechstronnie, spisano księgi, miewano odczyty publiczne w kraju i zagranicą, publikowano dyssertacje o kobiecie i jej stanowisku — słowem kobieta stała się modną w świecie naukowym. Snać i autor tej broszury zapragnął kilka ziarnek dorzucić ku wzbogaceniu nauki o społecznem znaczeniu kobiety, zwłaszcza w zaborze pruskim, ale niestety zamiaru swego nie osiągnął, bo uwagi jego trącą komunałem rażącym. W nastroju apostolskim głosi on wśród ciegłych wykrzykników myśli wiadome powszechnie, niesięgające wyżyn nauki obecnych czasów. Rady, które autor kobiecie polskiej podaje, aby posłannictwu swemu zadość uczyniła, ojcowskie wprawdzie ale wątpliwego skutku, są miejscami niemożliwe, a nawet niezgodne z pojęciem dzisiejszych zapatrywań. Żądania autora przechodzą granicę możności kobiecej, gdyż chce od niej cudów. Sympatji dla kobiet jest tu wiele, moralności jeszcze więcej, ale istotnej nauki stosunkowo za mało.

— Przyczynek do studjów nad podaniem o Twardowskim napisał Ernest Świeżawski. Warszawa 1875.

Praca to sumienna, krytycznie opracowana na źródłach i badaniach najodleglejszych czasów, wyświecająca nam mistyczną postać Twardowskiego, którego imię i sprawy przechowały się w żywem podaniu a później przeszły do literatury. Autor jest zdania, że opowieść o Twardowskim powstała w XII wieku, kiedy pieśń o Bogarodzicy zaczęła nabierać w Polsce wysokiego znaczenia. Z gruntowną znajomością rzeczy, autor rozbiera podanie o tym czarnoksiężniku za pomocą analogji faktów historycznych i wyświeca baśń ludu o Twardowskim, którego z Kacprem, poetą z czasów Zygmunta III fałszywie pomięszano, a następnie porównywa podania o czarnoksiężniku z mytami o Piotrze Duninie. P. Świeżawski kończy rzecz wyjaśnieniem historjozoficznem postaci Twardowskiego.

— Kniaź i Książe, przez Juljana Bartoszewicza — Kraków — Nakład Redakcji „Szkiców“ — 1876.

Nie obszerna to książka, ale bardzo ciekawa i stanowiąca cenny przyczynek do naszej heraldyki. Autor wyświeca różnicę między tytułami „książę“ i „kniaź“ pomięszanemi przez naszych heraldyków, i wykazuje jak książętami nazywali się w Polsce nieraz ludzie, którzy do tego tytułu najmniejszego nie mieli prawa.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Rezultat konkursu krakowskiego. D. 26. marca odbyło się w Krakowie ostatnie posiedzenie komisji konkursu dramatycznego krakowskiego. Obecnymi byli pp. Karol Estreicher, Kłobukowski, Koźmian, Podwyszyński, Marjan Sokołowski, Lucjan Siemieński, Szukiewicz. Przystąpiono do głosowania. Stosownie do warunków konkursu o nagrodę 600 złr., ubiegały się sztuki nie ludowe, najmniej trzy aktowe, a zalecone do wspólnego czytania. Były to: *Posadnica Marta*, *Czaple Pióro*, *Iwan Podkowa*, *Błędna Gwiazda* i *Trzy Flory*. O nagrodę 300 złr. wyznaczoną dla sztuki ludowej ubiegały się zalecone do wspólnego czytania: *Gdzie szczęście?* i *Emigracja Chłopska*. O zalecenie do grania ubiegały się powyższe sztuki, oraz jednoaktowa komedja *Dwojakie Gwichty*. W pierwszem głosowaniu o nagrodę 600 złr., tylko *Posadnica Marta* otrzymała dwa głosy i to jeden z zastrzeżeniem przerobienia dramatu. Tej więc nagrody nie otrzymał żaden utwor dramatyczny. W głosowaniu nad nagrodą 300 złr. (sztuki ludowe) otrzymał siedm głosów obraz ludowy w czterech aktach: *Emigracja Chłopska*; jednogłośnie zatem przyznano mu tę nagrodę. Po odpieczętowaniu koperty okazało się, że autorem tego utworu jest p. Władysław Ludwik Anczyc. W głosowaniu nad zaleceniem do grania komedja jednoaktowa *Dwojakie Gwichty* otrzymała wszystkie siedm głosów, dramat w pięciu aktach *Iwan Podkowa* sześć głosów, komedja w trzech aktach *Trzy Flory* cztery głosy, dramat w pięciu aktach *Czaple Pióro* cztery głosy; te zatem sztuki zalecone zostały do grania. Po odpieczętowaniu kopert okazało się, że autorem komedji *Dwojakie Gwichty* jest p. Wiktor Burzan z Warszawy, który zarazem żąda zmiany tytułu na *Dwie Miary*; autorem dramatu *Iwan Podkowa* jest p. Jerzy Horwat z Warszawy; komedji *Trzy Flory* pani Teofila Samoleńska z Chicago w Ameryce, a dramatu *Czaple Pióro* hr. Leopold Starzeński. W trzeciem głosowaniu otrzymała *Posadnica Marta* jeden głos, *Błędna Gwiazda* dwa głosy, *Gdzie szczęście?* dwa głosy z zastrzeżeniem przerobienia. Komisja postanowiła ogłosić sprawozdanie ze swych czynności i na tem zakończyła swoje posiedzenia.

— Równocześnie z ukończeniem w „Tygodniu“ druku „Bitwy pod Iłżą,“ wyszły pamiętniki p. Ezechiela Berzeviczego nakładem młodej księgarni Wł. Bełzy. Bitwa pod Iłżą jest tylko jednym epizodem z tej ciekawej książki, która oprócz pięknej formy i rzec śmiało można odznaczającej się wśród mnogich tego rodzaju edycyj, zawiera wiele ciekawych szczegółów, odnoszących się do pułku Wołyńców, który w pamiętnym roku rewolucji Listopadowej tak zaszczytne zajął stanowisko. Tytuł tej zajmującej publikacji, którą szczerze zalecamy czytelnikom naszym jest następujący: „Wspomnienia podporucznika, pułku jazdy wołyńskiej z pod komendy Karola Różyckiego“ 8^{0} stron 128.

— W środę 29. bm. odegrano w teatrze naszym po raz pierwszy komedję Emila Augier'a pt. „Świetna partja.“ Odkładając rozbiór jej szczegółowy na później, zanotujemy dziś, że jakkolwiek wspomniany utwór utalentowanego dramaturga francuskiego, bez porównania niżej stoi pod względem wartości, jako dzieło sztuki, od dramatu Borniera „Córka Rolanda,“ mimo to pewni jesteśmy, że dzięki licznym efektom scenicznym, innym warunkom pociągającym tłumy, a także grze artystów naszych, równych doczeka się on na scenie naszej sukcesów, jak „Dwie sieroty,“ grywane zawsze z powodzeniem dla kasy. Dowiadujemy się z przyjemnością, że dyrekcja teatru naszego przygotowuje nową niespodziankę publiczności, zamierzając wystawić na scenie drugą sztukę tego samego autora pt. „Madame Caverlet.“ Pobieżną, ale wiele znaczącą o niej wzmiankę znajdzie czytelnik w dzisiejszej naszej „Kronice paryskiej“ p. Chamca.

— Krakowski „Dziennik Mód“ wydawany przez tamtejszego księgarza Otrembę, przeszedł teraz na własność pp. Dygasińskiego, Korneckiego i Wł. Sabowskiego, i odtąd będzie wychodził regularnie co dni 14 pod zmienionym tytułem „Moda.“ Naczelnym redaktorem pozostaje i nadal p. Wł. Sabowski.

— Arcyksiężna Klotylda, żona arcyksięcia Józefa, oddająca się od dawna malarstwu, z wielkiem zamiłowaniem sztuki, zajmuje się obecnie bardzo pilnie malarstwem portretowem, a prace dostojnej artystki mają podług zdania znawców, być wcale udatnemi.

— Śpiewaczka operetkowa pani Judie, zawarła z dyrektorem opery buffo w Petersburgu, p. Fedotoff kontrakt, na mocy którego otrzyma za 25 występów krągłą sumę 50.000 dolarów. Oprócz tego cały dochód z 26go występu, będzie własnością artystki. Honorarjum wcale piękne, jak dla śpiewaczki operowej, nie licząc już cennych upomineczków jakie niechybnie zbierać będzie wraz z bukietami.

— W Paryżu odbędzie się w r. 1877 w czasie od 14. lipca do 30. listopada międzynarodowa wystawa, której celem będzie wykazanie dokładne, o ile elektryczność pod względem umiejętnościowym i praktycznym, dotychczas wyzyskaną była. Wystawa obejmie 18 grup: 1) dzieje elektryczności; 2) naukowe przedmioty tej treści; 3) elektryczne motory; 4) elektromagnetyzm; 5) telegraf elektryczny; 6) zegary elektryczne: 7) elektr. sygnalika kolejowa; 8) źródła elektryczności; 9) światło elektryczne; 10) elektrochemja; 11) galwanoplastyka; 12) elektrotypja; 13) elektryczność w celach medycyny; 14) elektr. w celach metereologji; 15) w celach militarnych; 16) w celach marynarki; 17) użytek jej w innych zresztą kierunkach; 18) literatura elektryczności.

Odkrycia.

— George Smith, znakomity znawca pisma klinowego, powrócił z Konstantynopola do Londynu i przywiózł z sobą firman sułtański, przyzwalający na dalsze poszukiwania koło Niniwy. Niezmordowany ten uczony zamierza znowu udać się do Małej Azji, by jak najrychlej wydobyć na jaw wszystkie fragmenty kamiennej bibljoteki Ascher-banipal'a, spoczywające dotąd, ze szkodą nauki, w łonie ziemi. W tej podróży towarzyszyć mu będzie między innymi, także dr. Encsberg, profesor arabskiego języka z Helsingfors.

— Poszukiwania w Olimpji zyskały znowu dość ciekawych przedmiotów znalezionych, mianowicie fragmenty z posagów ludzkich i koni, z osobliwemi napisami, dalej broń przeróżną itp. Atoli dolina Alpheiosa zaczyna być niezdrową, skutkiem czego prace tam przedsiębrane potrwają jeno do maja br. Potem rozpoczną się na wielką skalę koło Pergamon z Małej Azji.

Statystyka.

— Szlachetne kruszce przyniosły prowincjom zachodniej połowy Zjednoczonych Stanów od roku 1849 poważną sumę 317,000.000 f. szt. (1 f. szt. zawiera nieco więcej jak 10 złr. a. w.) Z tego przypadają na Kalifornię w liczbach krągłych całe dwie trzecie. Kalifornia wydawała przeważnie złoto; na Newadę przypada 44 milj. f. szt. najwięcej za srebro; Utah — gdzie kopalnie dopiero przed kilką laty w życie weszły, osiągnęło już sumę 3,700.000 f.; Montana 24 milj.; Idaho 11 milj.; Colorado 6 milj.; Oregon wraz z terytorjum Wassyngtonu 5 milj. W końcu Britisch Columbia dorzuca swoich około 2 milj., a Arizona choć niezmiernie obfita w pokłady szlachetnych kruszców, mniej jednak eksploatowana, skutkiem nieprzyjaznego usposobienia Indjan.

Zjawisko natury.

— W Leoben zaobserwowano 11go marca br. o godz. 7$^{3}/_{4}$ z wieczora, pojawienie się wspaniałego meteoru. Żarząca kula o czerwonem, intenzywnem świetle, zawisła przez 5 sekund, prawdopodobnie dość blisko nawet ziemi, w kierunku zachodnim, poczem rozprysła się z rozgłośnym hukiem.

Gospodarstwo.

— O zbiorach zbożowych za rok 1875 w całem państwie austrjackiem, podaje ministerjum rolnictwa następujące daty, o jednostce równającej się tysiącowi hektolitrów: Niższa Austrja 985 pszenicy, 2256 żyta, 1051 jęczmienia, 3178 owsa, 203 kukurydzy, 2806 wina; wyższa Austrja: 658 pszen., 1365 żyta, 723 jęczmienia, 1426 owsa; Salzburg: 102 pszenicy, 156 żyta, 25 jęczmienia, 158 owsa; Styrja: 502 pszenicy, 556 żyta, 216 jęczmienia, 1383 owsa, 1461 kukurydzy, 588 wina; Karyntja: 131 pszenicy, 453 żyta, 202 jęczmienia, 958 owsa, 266 kukurydzy, 1 wina; Kraina: 159 pszenicy, 97 żyta, 229 jęczmienia, 346 owsa, 353 kukur., 261 wina; Tyrol: 149 pszenicy, 340 żyta, 159 jęczmienia, 124 owsa, 467 kukur., 692 wina; Vorarlberg: 28 pszen. 57 żyta, 9 jęczmienia, 21 owsa, 46 kukur., 9 wina; Czechy: 3122 pszen., 8554 żyta, 4081 jęczmienia, 7231 owsa, 13 wina; Morawia: 1068 pszen., 3034 żyta, 2000 jęczm., 3526 owsa, 187 kukur., 466 wina; Szląsk: 130 pszen., 479 żyta, 325 jęczm., 900 owsa; Galicja: 3236 pszenicy, 5323 żyta, 3323 jęczm., 5891 owsa, 764 kukur.; Bukowina: 143 pszenicy, 304 żyta, 235 jęczmienia, 246 owsa, 1122 kukurydzy; Tryjest, Gorycja i Istrja: 262 pszen., 41 żyta, 119 jęczm., 54 owsa, 371 kukur., 400 wina; Dalmacja; 125 pszen., 30 żyta, 283 jęczm., 20 owsa, 557 kukur., 1212 wina; zachodnia połowa Monarchji: pszenicy 10800, żyta 22995, jęczm. 12980, owsa 25462, kuk. 5797, wina 6448.

ROZMAITOŚCI.

— Wyprawy naukowe do środkowej Afryki przedsiębrane tak pilnie w ostatnich latach zawierają wiele ciekawych i humorystycznych zarazem epizodów z przygód śmiałych podróżników. W pismach pośmiertnych nieodżałowanego badacza Livingstone'a znajduje się między innemi opis audjencji, którą mieli Anglicy: Galton i Anderson u króla murzynów Ovampo, w krainie Ondonga, w środkowej Afryce. Przy pierwszem spotkaniu z orszakiem tego potentata, ujrzeli Europejczycy w pośrodku tłumu krajowców jakąś figurę pękatą, niezmiernie tłustą, która jak się zaraz dowiedzieli, była królem Nangoro. J. k. mość, był tak otyły, że poruszać się i oddechać mógł tylko z trudnością, wyszedł pierwszy na spotkanie cudzoziemców, na parę kroków przed nimi zatrzymał się, i wlepił w nich wzrok badawczy, nie racząc przemówić ani słowa. Przedłużające się milczenie ogólne spowodowało jednego z podróżników, że usiadł na pobliskim pniu, rozłożył na kolanach swój dziennik i zaczął notowac swoje spostrzeżenia. Ta czynność zainteresowała niezmiernie ciekawego monarchę, zaszedł z tyłu do piszącego, spojrzał mu przez ramiona poczem objawiając swe zadowolenie jakimś niewyraźnym mrukiem, na znak łaski królewskiej zaaplikował Anglikowi swem długiem berłem bolesnego w bok szturchańca. Na to świta królewska przypatrująca się w bogobojnem milczeniu czynnościom władcy, wybuchła radośnie głośnym śmiechem. Po wymianie zwykłych podarków, gdy się król dowiedział, że przybyli mają z sobą broń palną, — która to zresztą wiadomość sprawiła na nim poważne wrażenie, — pozwolił im przystępu do swoich poddanych, sam zaś oddalił się ze świtą. W mgnieniu oka napłynęły zewsząd tłumy ciekąwej ludności, aby oglądać białych przybyszów. O ile wnosić można było, z wesołych śmiechów i filuternych spojrzeń, cndzoziemcy zrobili powierzchownością swoją dość korzystne wrażenie. Obchodzono się z nimi przyzwoicie i grzecznie, i wcale nie mogli uskarzać się, by doznali z ich strony jakiekolwiek przykrości. Każdy czarny, czy to mężczyzna, czy kobieta, ustrojony był bogato i dziwacznie szklannemi perłami i innemi świecidełkami. Osobliwie kobiety wyglądały dość powabnie; ich twarze otwarte i wesołe, wyglądały dość sympatycznie, mimo grubości rysów i ozdób szpecących, w przekonaniu Europejczyka, twarz ludzką. Wieczorem król Nangoro dał bal świetny, na którym krajowcy wykonywali tańce nader pocieszne. Atoli, całą zabawę popsuł na chwilę naszym podróżnikom zabobon krajowców. Mianowicie mają oni niezłomne przekonanie, że cudzoziemiec biesiadujący społem z nimi posiada całe piekło sztuczek szatańskich na rozkazy, i może zaczarowywać ich w sposób rozmaity a dowolny. Oczywiście istnieje na to lek bardzo skuteczny przeciw czarom działający, któremu cudzoziemiec każdy chcąc nie chcąc, poddać się musi. W tym celu jeden z obecnych kapłanów wziął w usta wodę i zamierzał skropić nią twarze Anglików, podczas której to operacji inni jego koledzy mieli wygłaszać rozmaite zaklęcia uroczyste. Widząc to podróżnicy nasi, nuż w prośby i perswazje, aby jeśli już nie można inaczej, ceremonja odbyła się przynajmniej w jąki inny sposób mniej wstrętny. Po długich certacjach, kapłan dał się odwieść od pierwotnego zamiaru, i poprzestał na tem, że wysmarował im masłem czoło. Przy sposobności debaty, czem obdarować przybyszów, mimo tuszy dowcipny władca Nangoro wpadł na pomysł, którym, jak to mówią, przy jednym ogniu chciał upiec dwie pieczenie. Miał ów potentat córkę nie pierwszych latek młodzieńczych, nazwiskiem księżniczkę Chipanga, której dotychczas żaden z poddanych nie odważył się pojąć w śluby małżeńskie. Ją więc umyślił ofiarować czuły ojciec cudziemcom w podarku, proponując to naprzód Galtonowi, potem Andersonowi. Gdy się Anglicy wymawiali od przyjęcia podarku, podając za powód że są już żonaci, król, zwolennik wielożeństwa nie uznał racji odmowy, a widzac w niej jeno sprzeciwianie się jego woli monarszej, zachmurzył czoło, rozsierdził się na upartych białych, i rozkazał wydalić ich bezwłocznie z granic swego państwa.

— Lista cywilna królowej angielskiej wynosi stale oznaczoną przez parlament sumę 385.000 funtów szterl. i jest obecnie mniejszą, jak były przedtem dochody monarchów Wielkiej Brytanji. Prywatne dochody królowej Wiktorji nie są znane dokładnie, wynosić jednak mają co rocznie znaczne sumy i tak n. p. w r. 1874 miała królowa z Lancastru czystego dochodu 41.000 f. szt. Książę Walii dostaje rocznej pensji 40.000 f. szt., i dochody z księstwa Kornwallis, które w r. 1874 przyniosły mu 62.515 f. szt. Księżna Walii otrzymuje rocznie 10000 f. szt. a w razie śmierci męża, suma ta zwiększoną by była na 30000 f. szt. Reszta członków królewskiej rodziny pobiera z wspólnogo na ten cel przeznaczonego funduszu, następujące pensje roczne: Książę Edynburgski, 25.000 f. szt., książę Connaught'u, 15.000 f. szt., książę Leopold 8.000 f. szt. Princess Royal (żona następcy tronu pruskiego) 8.000 f. szt., księżna Ludwika Heska 6.000 f. szt., księżna Christiana Holsztyńska 6.000 f. szt; księżna Ludwika (markiza de Lorne) 6000 f. szt; owdowiała księżna Cambridge 6.000 f. szt.; wielka księżna Maklemburg Strelitz 3.000 f. szt; księżna Teck (dawniej księżna Mary Cambigde) 5.000 f. szt; książę Jerzy Cambrigde (generalissimus armji angielskiej) 12.000 f. szt. ogółem wszyscy sumę 167.000 f. szt. Najmłodsza córka królowej nie pobiera dotychczas apanażów; atoli gdy wyjdzie zamąż, parlament nie omieszka wyznaczyć jej rocznie na szpileczki z 6.000 f. szt.

— Zegarmistrzowstwo Neuburgskie było już w połowie ośmnastego wiekn, na cały świat głośne. Niejaki Jaquet Droz z Lachandefond szrobił był dla króla hiszpańskiego Ferdynanda VI zagar stołowy, istne arcydzieło mechaniki, za które otrzymał olbrzymią na owe czasy sumę 500 luidorów i koszta podróży. Po uderzeniu każdej godziny wychodził z budki zegarowej pasterz i na flecie wygrywał sześć rozmaitych melodyj. Poczem zjawiał się pies, który się do pasterza łasił i ile razy dotknął nosem koszyka z jadłem, szczekać miał tak naturalnie, że psy króla słysząc to, poczynały równie odzywać się na rozmaite głosy. Oczywiście, taka sztuczka mechanizmu, niezrozumiała dla ciemnego a zabobonnego ogółu, wydała się dziełem szatana, i powszechnie poczęto twórcę zegara pomawiać o czarnoksięstwo i konszachty z Belzebubem. Jaquet-Droz widząc co się święci, a nie wierząc w znajomość rzeczy decydujących Grandów, wyprosił sobie u króla, by mógł mistrzowi Inkwizycji wytłumaczyć mechanizm zagadkowego zegara. Potężny władca w sutannie, tak został ujęty tem okazaniem szacunku dla jego osoby, że choć po wytłumaczeniu rzeczy pewnie nie więcej wiedział jak przedtem, ogłosił jednak publicznie na dworze królewskim, że zbadał dokładnie mechanizm zegarowy, i nie znalazł w nim nic podejrzanego, co najmniej zaś czarnoksięskiego.

— Dziennik amerykański „Courrier des Etats-Unis" opowiada o szczególnem małżeństwie, właściwiej formie jego zawarcia, które odbyło się niedawno w Pensylwanji. Nowożeńcami byli Mr. Scott Jeffreys i miss Lida Guller; oboje sprawują urząd w służbie telegraficznej, pierwszy w Waynesburgu, druga w Brownsville. Państwo młodzi zeszli się wraz ze świadkami ceremonji w biurze telegraficznem w Brownsville, a wielebny Mr. Scott, oczekujący w biurze telegraficznem w Waynesburgu, miał za pośrednictwem drutu telegraficznego, połączyć nowożeńców. Pierwszy pan młody wysłał depeszę tej treści: „Powiedzcie wielebnemu Mr. Scottowi, że gotowi jesteśmy" na co otrzymał w odpowiedź: „Małżeństwo ustanowił Bóg dla dobra ludzkości. Pierwszym przykładem tego Adam i Ewa połączeni własnoręcznie przez Stwórcę, węzłem świętym i wzniosłym. W tej chwili niechaj nowożeńcy podadzą sobie dłonie!" Z Brownsville odpowiedziano: „Stało się podług życzenia wielebności." Teraz zatelegrafował Reverend Scott, co następuje: „Ty, George Scott Jeffreys i ty, Lido Guller, wy którzy się w tej chwili za ręce trzymacie, czy chcecie pojąć się wzajemnie na towarzyszów dozgonnych, i przyrzekacie uroczyście w obliczu Boga i obecnych tam świadków, że będziecie żyć wspólnie, miłować się stale i pozostać sobie wiernymi jako mąż i żona, aż póki Bóg śmiercią was nierozłączy?" Depesza nowożeńców brzmiał: „Tak, przyrzekamy solennie!" Ostatnia depesza czcigodnego Mr. Scotta: „W imieniu Boga ogłaszam was jako prawowitych małżonków. Co Bóg złączył, ludzie rozłączyć nie mogą.. Oby Bóg Ojciec, Syn i Duch Święty pobłogosławili związek wasz i was każde z osobna, teraz i po wieczne czasy." Połączeni państwo młodzi odpowiedzieli: „Dziękujemy serdecznie za Wasze życzenia, wielebny Mr. Scott." Jeśli fakt ten prawdą, a niezmyśloną bajką, po prostu humbugiem amerykańskim, to świadczy charakterystyczuie o praktycznosci Jankesów. Przecie depesze mniej kosztują, niżeli sprowadzać pastora z odległej miejscowości. A o formę Amerykanin tak bardzo nie stoi!

— Pekingska Gazeta urzędowa z 19 list. z. r. ogłasza dekret publiczny, który wystosowały obie cesarzowe Chin do namiestnika prowincji Jü-nam, jako odpowiedź na memorjał tego dygnitarza, przedłożony dostojnym władczyniom a donoszący im z bolesną zgrozą, że podczas oficjalnej żałoby za zmarłego niedawno cesarza Chińskiego, jeden oficer z armji dopuścił się strasznej zbrodni, i kazał — się ogolić! Otóż wspomnianym wyżej dekretem ten oficer został za obrazę majestatu na śmierć skazany, ze względu jednak na okoliczność że to indywiduum cierpi na perjodyczne obłąkanie, wyrok złagodzony został o tyle, że przestępcę wygnano do jednej z odleglejszych prowincyj, i skazano na ciężkie roboty publiczne.

— Płeć piękna w Utah nie koniecznie wdzięczna jest rządowi Zjed. Stanów za podjęte przez niego usiłowania, ażeby usunąć wielożeństwo między Mormonami, i w ten sposób wyswobodzić kobietę z jej nader podrzędnego stanowiska. Przeciwnie, kongresowi stanów przedłożono petycję zaopatrzoną w 22.626 podpisów żon i córek mormońskich, a domagającą się nie mniej nie więcej jak zniesienia prawa przeciw poligamji i wcieleniu ich osad pomiędzy Zjednoczone Stany. Żeńscy ci obrońcy wielożeństwa zapewniają wysoki kongres, że z owych 22.626 podpisów, żaden nie został uzyskany namową lub przemocą, ale dobrowolnie, skutkiem głębokiego ich przekonania o słuszności wymagania, wyrażonego w petycji, a także że żadna z podpisanych nie liczyła mniej jak dwanaście lat wieku. Ciekawiśmy, co odpowie kongres na tę osobliwą petycję!

— Gdy król Filip V odbywał wjazd swój do Madrytu, jeden Hiszpan dopraszał się koniecznie o audjencję u monarchy, twierdząc, że ma mu wyjawić coś nader osobliwego. Przyprowadzony przed Filipa, rzekł: „Najj. Panie! Pokażę W. Kr. Mości jedną rzecz cudowną, jakiej dotychczas oko ludzkie nie widziało pod słońcem Będzie ona dowodem genjalnego ducha w narodzie, nad którym panujesz, potężny królu! Przedmiot zatem zasługuje, by Wasza kr. Mość oglądać go raczyła i podziwiać zasłużenie. Tak jestem nawet pewny, że Ty monarcho, choć jesteś największym i najpotężniejszym władcą na świecie, równie zdumiewającej rzeczy nie widziałeś, jak oto — moje szczury tańcujące na linwie." Poczem wyciągnął linwę i wypuścił sześć anglezowanych szczurów przystrojonych w świecidełka. Sławne te szczury — jak tradycja mówi — zprodukować się miały niepospolicie, tańcząc podług flażeoletu rozmaite hiszpańskie tańce narodowe czem ubawiły doskonale króla i obecnych dygnitarzy. Król chciał nagrodzić niezwykłego trenera szczurów datkiem 500 pistolów, on jednak odmówił, prosząc jeno o pozwolenie, by uczone gryzonie produkować się mogły w Madrycie. Otrzymawszy to zezwolenie umieścił nad domem swoim tablicę z następującym napisem złocistym: „W imieniu Króla wolno w tym domu szczurom tańczyć." Tłumy spieszyły odtąd oglądać ciekawą zabawkę a sprytny pogromca szczurów zrobił ogromny majątek.

Od Redakcji.

J. S. Ch. w Paryżu. Dzisiejszą pocztą odszedł list, prosimy o rychłą odpowiedź.

Prosimy o szybkie odnowienie przedpłaty, gdyż numer dzisiejszy należy już do nowego kwartału.

Treść Nr. 14.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).